Nr 42 (1604). Warszawa, 21 października 1911 r. Rok XXXI

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Fatalna ślepota.

Dopóki cisza panuje na lądach i morzach świata, dotąd potęga Rosji wydaje się oczom nacjonalistów niezachwianą: jej rozległe granice zdają się im wykute w spiżu; w świetle pokoju i bezpieczeństwa, olbrzymie obszary państwowe tężeją dla nich w jakąś moc niepożytą i wiecznotrwałą, urągającą wszelkim nawałnicom dziejowym.

Ale niech wojna wybuchnie gdzieś na widnokręgu politycznym, niech się rozpali gdzieindziej rewolucja, spiętrzając w groźną falę zbudzone siły narodów, natychmiast butna, pewna siebie zadzierżystość nacjonalizmu chwieje się i cofa w popłochu. Opuszcza go wiara we własne siły i zarazem traci on zaufanie do sił swej ojczyzny.

Oto, zaledwie rozpoczęła się wojna włosko-turecka, już *Nowoje Wremia* uderza na trwogę i każe się lękać o przyszłe losy — Rosji.

Pan Mieńszykow patrzy na zabór Trypolisu i skryty lęk chwyta go na myśl o Kaukazie, Finlandji, Władywostoku i Ukrainie.

Przykład Turcji i nieszczęsnego fatalizmu jej dziejów jakże wydaje mu się pouczającym, a raczej zastraszającym dla Rosji!

„Każdego dnia, — powiada on — widzimy, co się dzieje z państwami, w których nie wszystko jest w porządku".

I ta sama Rosja, która wczoraj jeszcze wydawała mu się twierdzą na granitach opartą, dziś staje się w oczach jego bezradnym łupem, który jutro chciwi sąsiedzi między siebie podzielić mogą tak, jak niegdyś rozebrano Polskę, jak dzisiaj rozbiera się Turcję.

Plan rozbiorów Rosji, zdaniem Mieńszykowa, tkwi w postaci zupełnie gotowej w głowach przyszłych zaborców: „Idea pangermanizmu — pisze — polega na tym, żeby Austrja zagarnęła dla siebie wzamian za niemieckie prowincje, ustąpione Niemcom, naszą Małorosję. Do Prus ma przejść Polska i Kraj Nadbałtycki. Turcji obiecano ziemie zakaukaskie, Rumunji—Bessarabję, Finlandja przechodzi do Szwecji, lub staje się państwem samodzielnym, wreszcie sąsiedzi syberyjscy zabiorą w Azji, co zechcą".

Jakże okropną wizję niebezpieczeństw nosi ten człowiek w swej duszy! Jakie ogromy klęsk przewiduje dla swej ojczyzny!

Rosja odarta z kresów, pozbawiona prowincji zachodnich, odepchnięta od Europy i ograniczona do swych ściśle etnograficznych posiadłości, przestałaby grać rolę w koncercie wielkich mocarstw, z kolosa zamieniłaby się w karła. Wszak już Mochnacki zauważył, że gdy w innych krajach siedliskiem potęgi politycznej bywają dzielnice środkowe państwa, i potęga owa od środka promieniuje ku kresom, — w Rosji jest odwrotnie: prądy siłotwórcze płyną od kresów ku środkowi państwa. Odcięcie tedy kresów rozstrzyga o upadku siły mocarstwowej państwa.

Rozumie to doskonale pan Mieńszykow, i dla tego tonem tak zdecydowanym woła: „Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie!"

Ah! ojczyzna ta jest dlań tylko, być może areną, na której on i sprzymierzony z nim obóz nacjonalistów tuczy swój egoizm pasorzytów; ojczyzna — to dla nich możność użycia i posiadanie przywilejów; ale, czy to, właśnie, ów interes osobisty, który przezierają na dnie każdej sprawy publicznej, czy też poczucie kruchości własnych charakterów i sił, które stoją w tak jaskrawej sprzeczności z powagą zadań dziejowych Rosji, a na których w latach ostatnich rząd tak niebacznie wsparł całą nawę państwową, — dość, że nacjonaliści bystrzej i wyraźniej mają przed oczyma

złowieszczy obraz grożących Rosji kataklizmów, niźli inne odłamy polityczne, niźli może sam rząd nawet.

„Nazwijcie ów plan (rozbiorów Rosji) fantazją papierową, — kończy Mieńszyków swój alarmujący artykuł — ale przecież fantazją również były niegdyś plany podziału Polski i Turcji; marzenie urzeczywistnienia się natychmiast, gdy złożą się odpowiednie okoliczności".

Tak więc pierwsze strzały armatnie, których echa rozległy się i skonały na morzu Egejskim, grzmotem ponurych przepowiedni zahuczały w uszach Mieńszykowa i wiernych jego aljantów. Daleka zawierucha wojenna spędza sen z ich powiek i, w nieubłaganej oczywistości, odsłania rysy i pęknięcia na ścianach i spojeniach gmachu ich ojczyzny. Widzą oni jak słabo powiązany jest organizm państwowy w całość jednolitą, przeraża ich nadmiar sił rozbieżnych, nie spojonych żadną ideą przewodnią, żadnym interesem wspólnym.

Widzą oni i oceniają dezorganizację wewnętrzną i słabość mocarstwową państwa, i dla grozy położenia mają czucie niesłychanie intensywne i wzrok niemal jasnowidzący. Slepota dziejowa, ślepota nieuleczalna i beznadziejna pada na oczy nacjonalistów dopiero wówczas, gdy od stwierdzenia stanu istniejącego przejść należy do zbadania jego przyczyn i obmyślenia środków zaradczych.

Gdy wizje klęsk fatalnych, którymi zda się grozić przyszłość, osaczą dusze ich trwogą, wówczas jeden tylko wyraz zbawczy wybiega im na usta: „Armja". W bagnetach, w prochu i w dynamicie pokładają jedyne i całkowite zaufanie; tylko pancerniki i nowe flotyle torpedowców zdolne są przynieść im ulgę i uspokojenie.

I zapatrzeni w coraz nowe tworzące się bataljony, zahypnotyzowani wiarą w ogień, w stal i w martwy posłuch, zapominają o jedynej wielkiej żywej prawdzie, o elementarnej prawdzie doświadczenia, że proch i dynamit mogą wprawdzie rozsadzać najtęższe nawet skały, ale do scementowania choćby dwu najmniejszych cegieł w budowie państwowej są niezdolne. Ogień może je strawić, stal może je zetrzeć na proch, ale połączyć je trwałym związkiem w mur jednolity potrafi tylko twórcza, celowa praca, porywająca wszelkie żywioły w państwie w wir wspólnych korzyści, w prąd powszechnego rozwoju.

Tego nacjonaliści nie rozumieją i ze śmiertelnym uporem zrozumienie prawdy tej odtrącają: bawią się widokiem „rot pociesznych", zaprawiając młodzież do bagnetu i koszar; pragnęliby oni całą ludność męską odziać w mundury wojskowe i uzbroić w oręż, miljony ludzi trzymać pod bronią w ustawicznej gotowości do boju. Cieszą się i z zapałem witają każdy krążownik nowy, spuszczony na wody, a nie widzą, jak wewnątrz państwa wzmagają się antagonizmy, podcinając u korzenia wszelki czyn zbiorowy i wszelką zbiorową wolę, która owym aparatem militarnym owładnąć i pokierować by mogła.

Co gorsza, niestety! sami oni antagonizmy owe podsycają, jątrzą, rozpłomieniając waśni i wojny domowe. Wysilają oni całą pomysłowość swą w kierunku pomnażania broni i zasobów wojskowych, a nie baczą, iż ten, kto się bronić chce, musi mieć potężną jednolitą *wolę obrony*: tymczasem nacjonalizm, z panem Mieńszykowym na czele, rozszczepia ową wolę na przeciwne, wrogie sobie odruchy, zahaczające się wzajem o siebie i paraliżujące kierunek zasadniczy.

Ile narodowości, ile plemion, ile języków odrębnych i ognisk kultury, — tyle stworzyć w Rosji nawzajem zwalczających się ośrodków społecznych: oto wynik wszystkich usiłowań nacjonalistów! — oto paradoksalny i niedorzeczny, lecz jakże, zarazem, tragicznie nieunikniony cel, do którego prowadzą politykę państwową nacjonaliści!

Zaiste, jedna zda się tylko troska ożywiać gorączkową, bezsennie czujną działalność *istynnie ruskich* żywiołów: oto troska o to, aby żadna dzielnica kresowa żaden naród, żadne plemię nie-rosyjskie przypadkiem nie uległo złudzeniu, że jakikolwiek interes pod wzglę-

---

7)

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

FATALNE MIŁOSIERDZIE.

(Ciąg dalszy).

Upłynęło kilka tygodni od chwili, kiedy po raz pierwszy z ust Jana padły fatalne słowa, łączące imiona Andrzeja i pani Emilji. Od tego czasu, w cichym mieszkaniu Rollów, pełnym zawsze łagodnej pogody nastąpiła zmiana dosyć wyraźna. Jan mimo to, że całą kwestję uważał za skończoną i słowem nigdy nie wspominał o anonimach, i swoich obawach, nie wrócił jednak do dawnego jasnego humoru, człowieka żyjącego w szczęściu. Właśnie dlatego, że były pewne wyrazy, których należało unikać starannie, — po wykwintnym mieszkakaniu snuł się smutek posępnego przymusu. Nikt nie odważyłby się wyraźnie wymienić nazwiska panny Brauman. Wyrazy: anonim, stara panna, potwarz, i t. p. jako nasuwające myśli tak przykre dla wszystkich były skazane na banicję.

Andrzej, prowadząc obojętną rozmowe z Janem z wielkim wysiłkiem starał się panować nad swojem żywym usposobieniem, aby mimo chęci nie zaczepić o coś, coby przypomniało im ustawiczne ataki starej panny. To samo czynił Jan, który zdawał się nie pamiętać o plotkarce, starannie unikając wszystkiego, coby ją mogło przypominać.

Lecz najbardziej bolesnym dla Andrzeja, była zmiana stosunku między Janem i Emilją. Roll był również jak zawsze uprzejmy i całujący żonę na „dzień dobry" i „do widzenia", lecz ta przedziwna harmonja szczerej miłości, która tak zachwycała poetę — już nie istniała. Andrzej łatwo mógł zauważyć pewien rodzaj przymusu, jaki towarzyszył ich pozornie swobodnym rozmowom.

Wszyscy troje czuli, że dawny nastrój w czułości minął, pozostawiając za sobą bolesną tęsknotę — i blady cień smutku, zaglądający do ich serc strwożonych.

Pani Emilja może odczuwała to najsilniej. Od chwili czytania anonimu, który miał dla niej znaczenie katastrofy, pobladła jeszcze bardziej, i zamilkła

dem kulturalnym, politycznym lub narodowym wiąże je z Rosją.

„Niechaj nikt nie zapomina, że do Rosji przykuwa go do tylko siła" — oto hasło na chorągwi hetmańskiej pana Mieńszykowa wypisane.

— Nie pokój ale miecz wam niosę! — woła on zarówno do Finlandczyków, jak Polaków, do Rusinów jak i mieszkańców Kaukazu.

I wszystkim bez wyjątku kresom ogłasza nacjonanalizm wojnę, bynajmiej pod uwagę nie biorąc ich względem państwa postawy i stanowiska.

Ten-że pan Mieszykow, który z trwogą i rozpaczą Kasandry mówi o niebezpieczeństwie utracenia Finlandji, sam nieustannie to niebezpieczeństwo potęguje, niemal przygotowywa, wbijając klin za klinem między oba narody, połączone węzłami stuletniej wierności. I po całym państwie Rosyjskim te kliny huczą pod młotami ślepej, zapamiętałej pasji, szerząc grozę, nienawiść, wzgardę i rozjątrzenie. Od szalonych ciosów gnie się i jęczy gmach państwowy, a gdy nad głowami stu kilkudziesięciu miljonów ludzi rysuje się i trzeszczy wspólna kopuła budowy, wówczas nacjonalizm wydaje okrzyk przerażenia i, na widok rosnacej niemocy, z podwójną zapalczywością wbija kliny antagonizmów między plemiona i ludy, które mogłyby żyć i współpracować w zgodzie, a muszą się ciągle zmagać w jałowej, nużącej walce.

Jakże światłą wskazówką przywódcy polityki rosyjskiej mogliby wydobyć z układu i stosunków narodowościowych, wiążących spójnią wewnętrzną wszystkie ludy, zostające pod berłem Habsburgów. Zarówno polacy jak czesi, obok niewątpliwych, potężnych aspiracji narodowych, dla których znajdują urzeczywistnienie w autonomji i w niekrępowanej wolności pracowania dla kultury ojczystej, mają w sobie niezmiernie żywe poczucie interesów państwowości arstrjackiej, której bronić są gotowi, właśnie, jako rękojmi swego bytu autonomicznego, swych swobód narodowych i swej lepszej przyszłości.

Jak wiele nacjonaliści rosyjscy nauczyć by się mogli z takiego choćby czeskiego *Prehledu*, który ziomkom swym zaleca bezwarunkowo zaniechania opozycyjnego separatyzm względem Austrji tam, gdzie chodzi o politykę mocarstwową państwa.

„My czesi, — powiada ów tygodnik praski, — nie mamy żadnego interesu w tym, żeby Austrja była rozebrana, lub choćby osłabiona. Przeciwnie! To też my właśnie powinniśmy być kitem, jednoczącym żywioły austryjackie w państwie."

Kiedyż, nakoniec, politycy nacjonalizmu zrozumieją, że owego „kitu jednoczącego żywioły państwowe" nie można przyrządzić ani z krwi pogromów żydowskich, ani z kart, odciętych od autonomji Finlandzkiej, ani z ustaw, zamykających szkoły polskie, ani z praw, rujnujących instytucje społeczne, ani z upośledzenia jednych narodowości na rzecz drugich? Kiedyż, słowem, zrozumieją oni, że owa spójnia wewnętrzna nie powstaje ani z ucisku, ani z ciemnoty, ani z nienawiści, ale z zapewnienia wszystkim obywatelom państwa równej pełni praw do narodowego, ekonomicznego i kulturalnego rozwoju? J u s t i t i a f u n d a m e n t u m r e g n o r u m.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

(Wojna włosko-turecka. Wojna domowa w Portugalji. Rewolucja w Chinach).

W dwa tygodnie po wypowiedzeniu wojny, d. 5 października po dwudniowym bombardowaniu Włosi zajęli Trypolis, nie znajdując prawie żadnego oporu ze strony rdzennych mieszkańców miasta, ani załogi tureckiej, która cofnęła się w głąb kraju.

Nazajutrz admirał Ricci wezwał do siebie notablów miejscowych z pośród Arabów i Żydów i miał do nich pojednawczą przemowę, gwarantując nietykalność mienia, religji i kobiet (*sic*) tudzież obiecując podnieść przemysł, handel i dobrobyt całego kraju. Zarazem nakazano powszechne rozbrojenie ludności, co bez trudu dało się uskutecznić. Namiestnikiem zdobytego miasta został mianowany Hassun-pasza Karamanli, potomek panującego niegdyś w Trypolitanji rodu. Hassun-pasza nietylko godność tę przyjął ale nadto przywiódł do Włochów z czołobitną wizytą 50 szefów plemion arabskich. Wogóle

---

Jest coś przejmującego w pięknej kobiecie, która przechodzi milcząc, objęta smutkiem, jak śmiertelnym całunem. Nie mówiła nic, co nie było koniecznością jej stanowiska, zamknęła się w sobie przeżywając straszliwą potwarz w zupełnej samotności. Od tej chwili datuje się idea unikania jej przez Andrzeja. Poeta, uradowany, wesoły, szczęśliwy, całymi godzinami dawniej rozmawiał z nią sam na sam o przeróżnych kwestjach, kłócąc się zażarcie o Oskara Wilde'a, którego uważała za rozpustnika, lub tłomacząc jej piękność straszliwych opowiadań Edgara Poego. Po rozmowie z Janem przestał z nią dysputować, uciekając zaraz do swego pokoju po obiedzie Nie schodzili również wieczorami do salonu na schumanowskie płakanie, które tak cudnie grywała pani Emilja, czasami tylko poeta, słysząc że gra, na palcach wstawał z otomany i otwierał drzwi słuchając z progu swojej samotni pełen żrącej tęsknoty.

Na wszystkich padł smutek, przejmujący boleścią jadowitej nudy. Spotkawszy się z dystynkcją ludzi dobrze wychowanych, grali swobodną wesołość jak głupią komedję dell'arte, przerywając rozmowę milczeniem, po którym nikt nie wiedział, co powiedzieć. W takich chwilach Jan bębnił palcami po stole i patrzał w okno. Po skończonym obiedzie wychodził, pocałowawszy żonę dosyć chłodno i podawszy rękę Andrzejowi Poeta cierpiał niezmiernie, odczuwając coraz większy chłód przy uścisku tak serdecznej zawsze dłoni przyjaciela. Pomimo jego milczenia wiedział doskonale, że Jan nie jest zupełnie pewny jego niewinności i w głębi duszy dręczy się podejrzeniami. Dlatego postanowił jaknajprędzej opuścić dom Jana, wyjeżdżając na kondycję. Lecz tu spotkał się z bolesnym zawodem. Dawny korepetytor miał prawo, według kontraktu, zajmować miejsce jeszcze przez cały miesiąc. Andrzej zatym, chociaż czuł rosnący z dnia na dzień tragizm tego fatalnego nieporozumienia, mieszkał nadal u Jana, ograniczając tylko swoje widzenie z panią Emilją do ostatecznej konieczności. Tymczasem gorycz i smutek młodej kobiety zaczął przybierać trwożliwe rozmiary. Pani Emilja płakała po kątach w cichej rozpaczy. Andrzej nieraz widział, jak udając zaczytaną, ocierała łzy, które płynęły po jej bladej, niemal przezroczystej, poczciwej, dobrej twarzy i spadały często na książkę, jak dwie kropelki rosy. W takich chwilach w piersiach poety zrywał się bunt i chęć zwymyślania Jana od ostatnich wyrazów. Przdświadczenie, że ten poczciwy, dobry czło-

polityka włoska dąży wcale zręcznie do wyzyskania istniejącej między Turkami i Arabami odwiecznej animozji.

Akcja wojenna nie rokuje na razie niespodzianek.

Słabość i dezorganizacja sił tureckich w Afryce wyłączają możliwość skutecznego oporu, opłakany zaś stan floty ottomańskiej nie pozwala na żadną dywersję ani odsiecz. Ze swej strony Włosi wobec protestów austrjackich zmitygowali zapał bojowy ks. Abruzzów na wodach albańskich i greckich. Mimo to rosnące coraz rozjątrzenie w Turcji i nieprzejednany nastrój umysłów bynajmniej nie wróżą rychłego pokoju. Obecnie jest on raczej na rękę Włochom, niż Turcji. Włosi bowiem zająwszy Trypolitanię, przedmiot swoich pożądań, nie mają narazie dalszych aspiracji i radziby jaknajrychlej zdobycz tę sankcją prawną utrwalić, kosztem bodaj pewnej kompensaty dla Turcji. Według obliczeń ekonomistów dotychczasowe koszta wyprawy wynoszą 500 miljonów lirów, a bojkot wyrobów włoskich na Bałkanach nie należy też do rzeczy przyjemnych.

Wojna włosko-turecka naraziła Trójprzymierze na szwank ciężki, a jak mówią niektórzy — śmiertelny. W świecie politycznym wielką budzi sensację artykuł *Berliner Tageblatt'u* gdzie między innymi powiedziano:

„Włosi nie uznali za stosowne uprzedzić przyjaciół w Berlinie i Wiedniu o swoich projektach, darząc natomiast Francję i Anglję szeregiem ważnych wskazówek jeszcze w sierpniu. Być może, że postępując w ten sposób, Włochy formalnie Trójprzymierza nie zerwały, ale pewnym jest, że nie uszanowały ducha tej umowy. Trójprzymierze jest traktatem odpornym w celu zachowania *status quo* na Wschodzie. Otóż Włochy traktują Niemcy i Austrję jako *quantités négligeables*...

Wreszcie pocóż nam Włochy? Poparcie dyplomatyczne z ich strony nigdy pożytku nam nie przyniosło.

Często natomiast mieliśmy do czynienia z oporną ich niechęcią. Wiemy też dobrze, że w chwili niebezpieczeństwa nie poprą nas Włochy militarnie. Obawiać się należy, że lada chwila uderzyć mogą z tyłu na sprzymierzoną z nami Austrję. Daleko byłoby lepiej przeciąć zawczasu więź przymierza użytecznego tylko dla Włoch i odzyskać wolność działania.

Połóżmy tedy kres Trójprzymierzu, które jest li tylko przeżytkiem innej epoki. Na przyszłość zaś przyjaźń Turków więcej będzie miała dla Niemiec wartości, niż przyjaźń Włoch".

Wrzawa wojny i związanych z nią kryzysów zgłuszyła szczęk broni na półwyspie Iberyjskim, gdzie szykowana od dłuższego już czasu wyprawa monarchistów portugalskich przeciw republice przyszła nareszcie do skutku. Zamach ten, budzący różowe nadzieje w kołach klerykalnych, spełzł na niczym mimo szumnych zapowiedzi i długich przygotowań.

Portugalskie ministerjum spraw zagranicznych zbyło go następującą lakoniczną wzmianką rozesłaną do mocarstw: „Bandy uzbrojone, które w zeszłym tygodniu przekroczyły granicę, redukują się dziś do niewielkiej grupy, pozostającej w obwodzie bragankim, o wiorstę od granicy, w okolicy górzystej, otaczanej zewsząd przez nasze wojska".

Poważniej niż portugalska Wandea przedstawia się ruch rewolucyjny w Chinach.

Wiosną roku bieżącego wybuchły w Kantonie rozruchy doraźnie stłumione, ale stanowiące jak widać drobną część bardzo rozgałęzionego spisku przeciw dynastji mandżurskiej, spisku na czele którego stoją patrjoci młodochińscy, inteligencja, młodzież, kształcona na Zachodzie i w Japonji, wreszcie liberalni kupcy i bankierzy z Hong-Kongu, Malakki, Jawy i Kalifornji.

Wodze sprzysiężenia dzierży obecnie w ręku dr. Sun-Jat-Sen, organizator powstania z 1895 r. a więc weteran walki za wolność, postać prawie legendowa, otoczona ninbem bezprzykładnego heroizmu.

W tych dniach przedwczesny wybuch bomby w Wuczangu i aresztowania 30 spiskowców przyśpieszyły dawno gotujący się kryzys. W oka mgnieniu centrum olbrzymiego państwa stanęło pod bronią. Hanken miasto miljonowe nad potężnym Jang-tse-kiangiem wpadło w ręce powstańców. W Hanianie i Wuczangu powiewa już trójbarwny sztandar Młodych Chin. Ruch ogarnia centralną i południową połać Chin, podczas gdy północ ze stołecznym okręgiem Peczili stanowi jakby obwarowany obóz reakcji mandżurskiej.

W poszukiwaniu drogowskazu.

III.

Trudności przedmiotowe naszej polityki.

Obok trudności subjektywnych, o których mówiliśmy poprzednio, nasza myśl polityczna natrafia na nieprzezwyciężone trudności objektywne, musi bowiem pogodzić olbrzymie sprzeczności, tkwiące w położeniu naszego kraju. Przedewszystkim uprzytomnić sobie musimy, że Polska podzielona pomiędzy trzy państwa, rozwijała się pod trojakimi wpływami i powoli wytworzyły się trzy społeczeństwa, trzy typy

---

wiek tak niesprawiedliwie obchodzi się z tą kochającą go i szlachetną kobietą — bolało go i gniewało niewymownie. Lecz obawa, że wymiana zdań może się zakończyć wypowiedzeniem mu domu, wstrzymywała go od wyrażenia Janowi swojej opinji. Jeszcze bardziej unikał żony przyjaciela i jeszcze bardziej milczał — i cały dom coraz wyraźniej pogrążał się w posępnym zmierzchu wzajemnych niechęci.

Razu pewnego, kiedy Jan przy obiedzie był wyjątkowo rozdrażniony i kilka razy dociął poecie zgryźliwie, pani Emilja wstała od stołu i nie mówiąc słowa, wyszła do drugiego pokoju. Jan, widząc to, zaśmiał się z jadowitą ironją. Nie powiedziawszy słowa, patrzał na Andrzeja wzrokiem, w którym już nie było życzliwości, lecz wyraźna niechęć pełna bolesnego żalu. Zjadłszy automatycznie podane potrawy — wstał i nie podając ręki Andrzejowi, rzekł:

— Idę się przespać. Powiedz Mili, że dzisiaj w interesie firmy wyjeżdżam na kilka dni.

Poeta kiwnął potakująco głową i wstał.

— Dobrze—rzekł za wychodzącym Janem, który nic już na to nie odpowiedział. Po jego wyjściu poeta, jak zwykle, postanowił przejść do swego pokoju. Przechodząc jednak koło salonu, usłyszał cichy szloch pani Emilji. Coś go szarpnęło za serce i nie zważając na swoje silne postanowanie, lekko uchylił drzwi i wszedł.

Młoda kobieta siedziała przy oknie, zwrócona twarzą do ulicy. Poeta, stojąc w progu, widział jak co chwila ocierała oczy chustką i poprawiała włosy nad czołem, które jej podczas silniejszego płaczu spadały. Po jej ramionach przechodził dreszcz nerwowy i odbijał się rozdzierającym bólem w tkliwym sercu poety.

Andrzej podszedł do niej i szepnął, starając się mówić jaknajciszej.

— Proszę pani... Ja wiem, że nie powinienem wogóle mówić o tym, ale poco pani płacze... To nie warto!... Jak Boga kocham, mnie się serce drze w piersi jak łachman. Niech pani przestanie — to przecież nic nie pomoże.

Ona otarła oczy i spojrzała na niego prawie z tkliwością.

— Pan jest bardzo dobry, panie Andrzeju i doprawdy, tak mi przykro, że on panu dokucza.

— Ech, głupstwo! — szepnął poeta. — Zdenerwowany i...

— On ciągle podejrzewa, prawda?

polskie, poza ogólnymi, zasadniczymi wspólnościami przeważnie sobie obce. A jeśli wyodrębnimy jeszcze Polaków na Litwie i na Rusi, żyjących w warunkach innych, jak mieszkańcy Królestwa Polskiego, to mieć będziemy właściwie cztery typy zasadnicze, nie licząc typów emigracyjnych.

Brak stosunków i różnice warunków ekonomicznych trzech dzielnic Polski, rozmaitość ustrojów politycznych i prawodawstw cywilnych, rozmaitość języków państwowych i naleciałości kulturalno-obyczajowych, i t. d., wszystko to stworzyło odrębności, których zatrzeć nie mogą nieliczne spotkania na zjazdach lub w podróżach letnich, oraz pewne stosunki w świecie nauki i sztuki. W ostatnich czasach wprawdzie okoliczności zbliżyły nas nieco do Galicji, a i rozwój prasy przyczynia się znacznie do zainteresowania sprawami innych dzielnic, są to wszakże zaledwie początki, które zapewne nie ulegną przerwie, których znaczenie wszakże z czasem dopiero będzie się mogło uwydatnić. Skoro jednak mówimy o dzisiejszym stanie umysłów Polski, liczyć się musimy ze stuletnim rozłączeniem, które oczywiście nie mogło pozostać bez znacznego wpływu, musimy liczyć się z tym, że to rozłączenie szczególniej było stanowczem w dziedzinie prawno politycznej, a więc tej, która nas tym razem przedewszystkim zajmuje. Stąd wynika, że każda dzielnica Polski myśli tylko dla siebie, że te same sprawy w każdej z nich inny zupełnie przybierają kierunek, że wskutek tego łączność usiłowań wszystkich dzielnic natrafia na nieprzezwyciężone przeszkody.

Jest to niezmiernie ważny i utrudniający moment naszego położenia i naszej psychologji.

Ale oprócz trudności wspólnych, które przezwyciężać musi nasza myśl polityczna, we wszystkich trzech zarówno dzielnicach Polski i we wszystkich sprawach ogólno-narodowych, każda z nich borykać się musi i ze swymi trudnościami wyłącznymi, których źródłem i podstawą jest najważniejszy fakt w naszym życiu, t. j. zależność od obcych mocarstw. Zależność ta nadaje u nas specjalny charakter wszystkim zagadnieniom, to też w rozważaniu każdej kwestji musimy mieć zawsze na względzie ten fakt zasadniczy, który nie pozwala nam korzystać bezwzględnie z obcych wzorów, ani przenosić do życia bez zastrzeżeń książkowych teorji państwowych, a nawet ekonomicznych, które przeważnie mają na względzie państwa niepodległe i ustroje państwowe ustalone.

I jeżeli Prusy i Austrja osiągnęły pewne trwalsze formy, to Rosja jest w fazie przeobrażeń wewnętrznych, których kierunku nawet przewidzieć nie można, zarówno ze względu na jej odrębny od Europy Zachodniej układ stosunków społecznych, jak i na zależność jej wewnętrznego rozwoju od wypadków polityki międzynarodowej. Królestwo Polskie oczywiście dzieli losy Rosji. W swym nieustającym przełomie przeżywa ono przeobrażenia, dalekie od równowagi ,z której myśl polityczna mogła by snuć jakiekolwiek wnioski stanowcze. Każde twierdzenie nasze, każde przewidywanie może być tylko fakultatywnym i w życiu, pomimo najściślejszego rozumowania dać zupełnie nieprzewidziane wyniki.

Otóż na tle takich trudnych stosunków państwowych, Polska rozwiązać musi dwa zasadnicze zagadnienia, które zresztą nurtują cały świat cywilizowany: kwestję narodowościową i sprawę robotniczą. Nigdzie te główne zagadnienia XX stulecia nie znajdują się w tak fatalnych, jak u nas warunkach.

Gdzie jest naród, który musi regulować swoje stosunki z tylu obcymi narodowościami? Obok panujących, rosjan i niemców, którzy swe dążności rusyfikacyjne i germanizatorskie, wspierają na sile władzy, w granicach ziem polskich zaostrzają się konflikty z żydami, litwinami, rusinami i czechami na Śląsku austryjackim, wreszcie z niemcami jako, pierwiastkiem kolonizacyjnym naszego kraju.

A dodać należy, że te starcia nie wszędzie mają jednakowy charakter. Inaczej wygląda sprawa ruska w Galicji, inaczej w Chełmszczyźnie, inaczej wreszcie na Ukrainie.

Kwestja żydowska nie wszędzie jednakową przybiera formę nietylko ze względu na rozmaite położenie polityczne i ekonomiczne dzielnic Polski, ale i dlatego, że żydzi w nich ulegali wpływom rozmaitych kultur, przedstawiają więc żywioł i cywilizacyjnie i narodowo bardzo niejednolity.

Niemcy również rozmaite mają dla nas oblicze. W Księstwie Poznańskim są oni żywiołem panującym, prześladowcą, opartym na przewadze siły, w innych dzielnicach Polski niebezpiecznym, a zaborczym współzawodnikiem w dziedzinie kulturalno-ekonomicznej.

Kwestja stosunków rosyjsko-polskich ma także dwie strony: najbardziej liberalni nawet rosjanie rozróżniają ją w Królestwie i na Rusi.

Polska zatym ma nietylko tak skomplikowane zatargi narodowościowe, jakich niema żaden naród na świecie, ale każdy z tych zatargów ma zozmaite strony, i rozwiązanie stosowne dla jednej, może być

— Tak.

Andrzej spojrzał na nią, uśmiechając się z dobrocią.

— I tak niepotrzebnie — co?... Tak naiwnie. O mnie jest zazdrosny... he, he... Co za głupstwo!...

— Dlaczego? — zapytała.

— Strasznie panią lubię, bo pani jest dobra i świetlana jak witraż kościelny — odpowiedział — ale dla Jana czuję wdzięczność. On mnie uratował od śmierci! Gdybym się w pani zakochał, wolałbym sobie w łeb strzelić, niż jemu zrobić taką podłość. A on mnie właśnie o to podejrzewa!

— Wolałby pan śmierć, niż mnie — szepnęła, nie patrząc na niego.

— To wszystko jedno. Pani byłaby dla mnie śmiercią!

Uśmiechnęła się przez łzy.

— Bo miłość jest jak śmierć — dokończył poeta.

— Taka bezwzględna?...

— I nie wracająca...

Pani Emilja spojrzała z trwogą.

— Więc sądzi pan, że Janek już mnie nigdy kochać nie będzie?

— Cóż znowu, wszakże on panią kocha do szaleństwa i tylko dlatego jest taki, jaki jest. Och, niech mi pani wierzy, że nigdy nie zmienił by się dla mnie, gdyby pani nie kochał! Jego miłość jest tak wielka, że pochłonęła inne uczucia: przyjaźń, współczucie, litość. On dzisiaj już nic nie widzi tylko panią, nic nie rozumie, tylko swoje cierpienie, a jedyną trwogą jest obawa przed utratą pani. Słowem, pani i pani zawsze! Każda jego myśl albo zaczyna, albo kończy się na imieniu: Mila! żyje jedynie tęsknotą do tego, co w jego pojęciu minęło bezpowrotnie, a co w rzeczywistości istnieje tak blisko, że tylko ręce wyciągnąć... i przycisnąć do piersi — bo przecież i pani go kocha!

— Tak — szepnęła, — kocham go bardzo!

— A Jan zatruwa pani życie i swoje, a mnie...— uśmiechnął się gorzko. — O mnie lepiej nie mówmy. Jestem intruzem i byłem nim od początku!... Jan ma dobrą nauczkę!... Nie wpuszcza się do sanctuarium domowego ogniska gołego literata, który w całym majątku ma tylko tom poezji — i trochę ideałów!... *Nihil est jucundius lectulo domestico!* Ogień, który prędko gaśnie i nie powraca do minionej świetności nigdy!

— Nie dziwię się pańskiemu rozgoryczeniu, ale

niewłaściwym dla innych. W każdej sprawie narodowościowej u nas jest spraw kilka. A dodać należy, że przeważnie nie mamy wpływu na układ stosunków naszych do innych narodowości, skrępowani przez politykę rządu i liczne służące jej zakazy i ograniczenia.

W warunkach równie niepomyślnych, jak sprawa narodowościowa znajduje się u nas i sprawa robotnicza.

Rozwój przemysłu i klasy robotniczej wymaga form i organizacji, które oddawna nadały im państwa zachodnio-europejskie. Swoboda związków robotniczych, szeroko rozwinięte ubezpieczenia robotników od wypadków losowych i na wypadek starości lub niedołęstwa, a przynajmniej zapewnienie im odpowiedniego zasiłku w tych wypadkach, dobre prawo o ochronie pracy, zapewnienie warstwom robotniczym oświaty i udogodnień życiowych, jak mieszkanie, resursy, teatry, ogrody i t. d. są konieczne do złagodzenia walki pracy z kapitałem, i wszędzie też stanowią nieustającą troskę rządów i parlamentów.

U nas sprawa robotnicza, nie znajdując się w naszych rękach, zawsze związana z tendencjami politycznymi rządu, przy względnie wysokim rozwoju przemysłu fabrycznego, znajduje się w warunkach prawnych nie odpowiadających potrzebom naszych czasów. Inicjatywa prywatna szerokich reform socjalnych zastąpić nie może. Tutaj konieczna jest intenrencja prawa.

Zapewne, że sprawy narodowościowa i robotnicza wszędzie przedstawiają niemałe trudności i są źródłem walk nietylko nie ustających, ale przeciwnie coraz bardziej zawziętych. O ileż jednak trudniejszą jest orjentacja polityczna u nas, gdzie obie te sprawy znajdują się w warunkach tak złożonych, tak innych, jak gdzieindziej, gdzie wreszcie i przedewszystkim, tak mało zrobić możemy, aby nadać im najwłaściwszy dla nas kierunek.

Ale te dwie skomplikowane, zasadnicze sprawy spółczesnego życia publicznego, na tle nieustalonego ustroju państwowego i administracyjnego nie wyczerpują wszystkich trudności objektywnych naszej myśli politycznej.

Bo wszak liczyć sie ona musi i ze sprawami religijnymi, a szczególniej wpływem wyznania największej części ludności, t. j. katolicyzmu i kleru katolickiego, którego położenie też jest inne, jak jest lub było w innych krajach katolickich; nie stanowiąc religji państwowej, przy wielkim wpływie, katolicyzm ulega ograniczeniom prawnym, ktore wytwarzają mnóstwo bardzo złożonych sprzeczności.

Gdy do tego dodamy jeszcze nasz brak samodzielności ekonomicznej, nieuregulowaną sprawę rolną, emigrację ludu stałą i sezonową, nieustaloną sprawę szkolnictwa, zupełną niezależność urzędników administracji i sądownictwa od społeczeństwa i jego opinji, a obok tego wszystkiego, trwające od lat wielu stany wyjątkowe, i wiele innych spraw, równie skomplikowanych, to zrozumiemy trudności, z jakimi borykać się musi nasza myśl polityczna, aby uniknąć czających się na nią ze wszystkich stron sprzeczności, niekonsekwencji i niezgodności z życiem rzeczywistym.

A niebezpieczeństwo jest tym większe, że tkwi ono w samym życiu, w układzie jego stosunków.

Niebezpieczeństwo to musimy mieć ciągle przed oczami w toku poszukiwań swego drogowskazu politycznego.

Faktem podstawowym polityki naszej musi być świadomość nieprzezwyciężonych trudności zarówno subjektywnych, jak i objektywnych, które napotyka u nas każdy program polityczny

Położenie naszego kraju łącznie ze stanem naszej umysłowości i uczuciowości, wytworzonym przez ubiegłe stulecie, jest teoretycznie, a zatym i praktycznie niezmiernie trudnym do rozwikłania.

Pociąga to za sobą bardzo daleko idące następstwa w naszych stosunkach społecznych i stwarza atmosferę duchową nader niepomyślną dla jakiejkolwiek dyrektywy politycznej.

Józef Lange.

Neopozytywizm, neoromantyzm a socjalizm.

2)

(Dokończenie).

Z tego, cośmy wyżej przedstawili, wynika jasno, że powiedzenie p. Waśnia: — „jeno socjalizm", — jest wyrazem jego *wiary*, gorącego ukochania ideałów socjalistycznych, ale dalekim jest od *krytycznego* ujmowania zjawisk społecznych literackich i „kultury" wogóle. Skoro bowiem niema ani jednego może podstawowego zagadnienia w socjalizmie współczesnym, co do któregoby nie było... dużo rozwiązań, skoro socja-

---

przecież niema sobie nic do wyrzucenia! — szepnęła cicho pani Emilja. — Pan bez zarzutu wobec Jana.

— I wobec pani — dodał Andrzej z naciskiem.

— Wobec mnie?... No, chociaż może znalazłabym nie jedno do zarzucenia...

— Mnie? — Spojrzał zdumiony, spodziewając się jakiegoś nowego nieporozumienia. Ale ona uśmiechnęła się prawie swobodnie.

— Unika mnie pan! Nie słucha pan nigdy jak gram...

— Nie chcę robić przyjemności... pannie Braumann — szepnął z wysiłkiem poeta... — Niech pani jednak raczy zapamiętać, że chociaż jestem nieobecny, ale dusza moja zawsze jest w pobliżu pani... gry .. I słucha... przynosząc mi potym swoje wrażenia za drzwi, do pokoju, gdzie, leżąc na otomanie, umieram z tęsknoty.

— Za kim, czy za czym?

— Za tą grą właśnie!

— Więc źle pan robi, krępując się czymkolwiek. Oto największa przyczyna, dla której Jan gnębi mnie bez litości! Bo nigdy nie miałam swojej woli, nie chciałam mieć swego ja! Zawsze robiłam, jak on chciał — i dzisiaj pierwsze lepsze uchybienie od jego zapatrywań, jest katastrofą! Ale to się musi zmienić! Teraz ja postawię swoje żądania! — zakończyła z energją.

— Niech pani jednak poczeka dopóki ja się od was nie wyprowadzę, bo to zbyt bolesne! Widziałem was takich szczęśliwych, pogodnych i kilka listów tej nikczemnej baby, całe to szczęście obróciło w gruzy. Ja wiem, że wy wrócicie do swojej radości, ale przedtym ja muszę stąd odejść! Ja, chociaż niczym nie zawiniłem, jestem jednak intruzem, wprowadzającym zamieszanie!

— Och nie! — zaprzeczyła pani Emilja. — Jedynym intruzem jest fatalne usposobienie Jana. Jego zazdrość przechodzi granice zwykłej namiętności — wystarczyło kilka anonimów, aby tak zasadniczo zmienił swoje postępowanie i bez powodu!...

Spojrzała na niego z wyraźną życzliwością i wyciągnęła rękę.

— Za niego i za siebie przepraszam pana, za wszystkie przykrości.

Poeta pocałował ją z szacunkiem.

C. D. N.

lizm nie jest koniecznością, ale raczej *możliwością* i to jedną z wielu, jeśli specjalnie na polskim gruncie w kraju przeważającego rolnictwa, socjalizm oparcia poważniejszego niema, skoro więc tak jest, zaprawdę ryzykownym wydaje mi się lekceważenie p. Waśni dla wszelkich neo i nic neo-pozytywizmów i romantyzmów, jako zbytecznych dla socjalizmu i... p. Waśni.

I tu już mogę p. Waśniowi wyjaśnić genezę i istotę „mego" neopozytywizmu. Przedewszystkim pojmowałem go nie jako kierunek filozoficzny, ale miałem na myśli *pozytywizm jako kierunek pracy organicznej* (po 63r.), więc neopozytywizm *społeczny*.

Neopozytywizm oznacza w sferze społecznej, motodę „myślenia" i *działania* społecznego, *liczącą się z realnym podłożem faktów*, i kontrolującą się każdorazowym ułożeniem rzeczywistych stosunków w pewnym miejscu i czasie. P. Waśniowi dobrze wiadomo, dlaczego ten neopozytywizm nagle obudził się w życiu i publicystyce.

Działało tu prawo kontrastu i reakcji. Nowy kurs niepodległościowy, cechujący się podkreślaniem znaczenia militaryzmu, nasunął wielu umysłom poważne wątpliwości.

Właściwie cały ruch militarny schodzi do zaprawiania w wojskowości garstki *inteligencji* i to do służby wojskowej jeszcze niedojrzałej (młodzież szkolna) lub wogóle niezdolnej (dla braków fizycznych). Chłop bowiem i inteligencja, zdolna do noszenia broni państwowej, zaznajamia się — śmiem twierdzić — doskonale, służąc w armjach państw zaborowych, z współczesną techniką wojskową tych państw i to tak, iż żadna szkoła i ćwiczenie prywatne nie może się z tym nawet porównać, tymbardziej najczęściej niefachowe i nieudolne prace i broszury militarne, od których roiły się do niedawna pisma partyjne.

Z natury rzeczy, zwalczając nie tyle sam militaryzm, zawsze pożądany, jeśli chodzi o fizyczne wzmocnienie naszej młodzieży, ile metody jego głoszenia i posądzanie o zdradę idei niepodległościowej każdego, kto inne obrał drogi pracy narodowej, uważaliśmy za stosowne przypomnieć dawne hasła „organicznej roboty od podstaw", gdyż widzieliśmy niebezpieczeństwo, że energja młodych, tak dla naszego życia społecznego ważna, zwraca się w kierunku bezpłodnym. Nie o zasadnicze poglądy na niepodległość narodową chodzi, ale o to, że w poglądach na realizację najbliższą hasła niepodległościowego zachodzą różnice znaczne, które właśnie uzasadniały pogląd neopozytywny w rozumieniu organizacji i ruchu społecznego.

Zawinił tu wielce i neoromantyzm *literacki*.

I kto zetknął się z młodzieżą bliżej, czuł, że ona aż nadto chętna jest wszelkim ideologjom efektownym, przecinającym szarzyznę życia błyskawicą... oręża, swobody, wolności od... obowiązków i pracy. Opuszcza ona pod wpływem nowych haseł placówki dawniejsze, oświatowe, propagandy społecznej, ekonomicznego i politycznego uświadomienia, te więc placówki, nad których rozwojem i powstaniem tak ciężko nieraz trzeba było pracować.

Neopozytywizm więc społeczny wziął sobie za zadanie przywrócić prawo obywatelstwa zapomnianym hasłom „organicznej roboty od podstaw", od której przejął pojęcie organizacji społecznej, jako *pracy jednostkowej i zbiorowej*, wciąż, etap za etapem, postępującej.

Ale ani pozytywizm po 63 r., ani tym bardziej jego spadkobierca „neo" nie miał pretensji do *wyłączności*, do wystarczania na wszystkie bolączki, nie głosił apodyktycznie: „Jeno pozytywizm". Owszem, zdajemy sobie dziś doskonale sprawę z błędów i braków organiczników po 63 r., jako też z faktu, iż jednosłownie i fanatycznie nie wolno nam głosić haseł tych w zmienionej, dostosowanej do warunków szacie „neo", że owszem może zajść nagła zmiana w sytuacji politycznej, uzasadniająca przesłanki społecznego neoromantyzmu, która sprawi, że na dalszy plan pójdą zaczyny „organiczne", spokojna praca w zarodach, organizacjach, partjach etc. Niemożna też zapoznawać niewątpliwej korzyści, jaka płynie z odrodzenia naszej młodzieży pod względem fizycznym, zaprawienia jej w ćwiczeniach bronią, w marszu etc.

Dlatego też nas tak dziwi owa pewność niezachwiana, owa wiara z jaką p. Waśń woła: „Jeno socjalizm" i nic po nad to czy *obok tego*.

My zdajemy sobie sprawę aż nadto z tego, że kierunki, które głosimy, nie są ani *nowe*, ani *jedne i jedyne*, ani nawet *najlepsze* śród wielu. I radzimy p. Waśni także, by zajmując się „literackimi prądami umysłowymi", strzegł się takich... wychwalań gołosłownych, które dobre na wiecu i zgromadzeniu przedwyborczym, rażą gdzieindziej tym bardziej, że socjalizm przez usta niektórych przedstawicieli, umiał krytycznie odnieść się do swoich zasadniczych podstaw i bynajmniej tym nie umniejszył swej wartości. Ale to są wyjątki. P. Waśń idzie niezawodnym śladem socjalizmu „wojującego", tego socjalizmu, który zaskorupiały w schematach i formułkach pseudo naukowych, odnosi się do każdego objawu myśli, każdego zaczynu w społeczeństwie od siebie niepochodzącego, jako do wytworu „burżuazyjno-mieszczańskiego", nad którym łacno przejść można do porządku dziennego... Ileż tym „burżuazyjnym" przydomkiem znaczono u nas wysiłków wartych, istotnych, trwałych!! A jednak one jeśli nie tworzyły, to podtrzymywały i pomnażały kulturę narodową!

Czy tę ostatnią, uświęconą krwią chłopa, robotnika polskiege — ale także i „inteligenta" i szlachica polskiego, publicyści socjalistycznego obozu nazwą także niezaszczytnym mianem... tworu „burżuazyjno-mieszczańskiego"? Mogę zapewnić p. Waśnia, że rozumiem tę prostą sprawę, iż pewien pogląd na świat całkowicie opanowuje jakąś warstwę społeczną i jest wyrazem jej interesów materjalnych, ideologicznych; najlepszym właśnie tego dowodem jest sam autor cytaty, p. Waśń; jednakże nie mniej, skoro już zajmuje się on prądami współczesnymi umysłowości polskiej, moglibyśmy od niego żądać, aby to „opanowanie" nie dochodziło do dotrynerstwa i dogmatyzmu, ślepo wierzącego w narzucone prawdy i nieudolnego do *krytycznego* ujęcia rzeczy.

Dr. Leon Biegeleisen.

BADANIA NAUKOWE.

Oligarchiczne dążności w demokracji współczesnej.

Robert Michels: **Zur Sociologie des Parteiwesens in der modernen Demokratie.**

Charakterystyczną cechą rozwoju politycznego ostatnich dziesięcioleci jest wspaniały rozwój demokracji.

Tryumf demokracji hypnotyzuje tak dalece wszystkich jej zwolenników, że pod wpływem blasku wschodzącego słońca nie mogą dojrzeć plam, które coraz wyraźniej zarysowują się na jego tarczy.

Demokracja bowiem, jako ruch i światopogląd społeczny, natrafia w urzeczywistnianiu się na przeszkody nie tylko zewnątrz siebie, ale także, we własnym łonie, które może pokonać tylko do pewnego stopnia.

Rodzi się mianowicie dziwna tragikomedja. Demokracja, której punktem wyjścia była negacja rządów oligarchicznych, prowadzi do oligarchji, a nawet

opiera się na oligarchji. Najwybitniejszy typ tego rodzaju rozwoju widzimy w najpotężniejszym tworze współczesnej demokracji, partji socjal demokratycznej. Robić z tego powodu partji zarzut hypokryzji byłoby rzeczą niesłuszną. Przejawiające się bowiem oligarchiczne tendencje we współczesnej demokracji są tylko wyrazem immanentnych praw socjologicznych, stojących poza dobrem i złem.

W jaki sposób dokonywa się ten proces?

Pomiędzy dwa odwieczne czynniki rozwoju społecznego, *jednostkę* i *państwo*, wchodzi nowy czynnik — partja polityczna. Bez organizacji istnienie demokracji jest niemożliwe. Organizacja jest bronią słabszych w walce z silniejszymi. Poucza nas o tym agitacja socjal-demokracji, będącej fanatyczną wyznawczynią zasady organizacji.

W organizacjach, zwłaszcza tak olbrzymich jak współczesne partje socjalistyczne, konieczny jest pewien system przedstawicielstwa, dla kierowania sprawami partji, gdyż taka olbrzymia masa nie może bezpośrednio kierować swoimi sprawami. Stają temu na przeszkodzie techniczne względy, jak: brak pomieszczenia dla wielkiej masy, niemożność szybkiego zebrania się w sprawach, wymagających natychmiastowej decyzji, trudność orjentowania się we wielu skomplikowanych sprawach. Partja nowoczesna jest partją walczącą. A więc musi sobie przyswoić zasady taktyki. Naczelną zaś zasadą taktyki jest błyskawiczna zdolność do boju. Stąd konieczność hierarchicznego ugrupowania, by rozkazy były szybko i sprawnie wykonywane. Z konieczności więc oddaje się rządy w ręce pewnych jednostek, pzywódców. Przywódcy wyłaniają się początkowo samorzutnie, imponując masie talentem oratorskim, energją i szybkością decyzji, czy też innymi zaletami. Tego rodzaju przywódcy, uznani formalnie, stają się elitą w której ręku spoczywają rządy. W miarą wzrostu zakresu spraw organizacji liczba przywódców coraz więcej wzrasta. Nie wystarczają już siły woluntarjuszy: dla ich załatwiania, organizacja musi tworzyć posady dla stałych zawodowych funkcjonarjuszy, którym jako urzędnikom powierza prowadzenie swych spraw. Górują oni nad masą znajomością najgłębszych tajników, spraw masy dotyczących. Jako specjaliści są nie do zastąpienia.

Tylko nieznaczna liczba zorganizowanych interesuje się sprawami partji, przychodzi na zgromadzenia, piastuje honorowe urzędy i t. d. Większość cieszy się jeżeli znajdą się jednostki, które chcą wziąć na swe barki te obowiązki. Tworzy się więc cały sztab przywódców, urzędników, specjalistów, a im większa ich liczba, im większe ich zróżniczkowanie umysłowe i materjalne na tle pozostałej masy, tem większe powstają dane dla rozwoju ich władczego charakteru.

Kto zaś raz został przywódcą, nabiera zamiłowania dla swojej roli, niechętnie się jej pozbywa, przeciwnie, stara się wszelkimi sposobami utrzymać przy niej. Używa do tego różnych sposobów. Schlebia instynktom mas, przedstawia się jako oddany ich wierny sługa, znosi w ich obronie prześladowania i poniżenia. Wszystko to jednak zmierza do utrwalenia jego władztwa.

Przywódcy, ustaleni na swych stanowiskach, dążą de zagarnięcia w swe ręce wszystkich tych czynników w łonie organizacji, któreby im pozwoliły rozwinąć jak najwszechstronniej swą władzę nad masą. Dzięki istnieniu wielce płatnych posad w organizacji, których nadanie spoczywa w ich rękach, przykuwają do siebie cały szereg jednostek, czyniąc je w zupełności zależnymi. Nie znaczy to jednak by ci przywódcy — jak nieraz słyszy się zarzuty — żyli pasożytniczo z grosza robotniczego. Życie przywódcy socjalistycznego to nie jest życie opływające w dostaki. Płaca otrzymywana za ofiarną, szarpiącą nerwy, pełną trudów pracę, nie odpowiada nigdy wysokości świadczeń. Mężowie w rodzaju Kautsky'ego mogliby sobie zapewnić wspaniały dobrobyt materjalny, gdyby zechcieli swą wiedzę i pracę zaofiarować gdzieindziej nie zaś proletarjatowi.

(d. n.). *Franciszek Dorosz.*

Marceli Handelsman: **Studja Historyczne** Warszawa 1911 r.

Książka p. Handelsmana zawiera zbiór prac, które zjawiały się kolejno w różnych czasopismach. Tylko „Gienezę Księstwa Warszawskiego" wydrukowano po raz pierwszy. Wszystkie zaś bez wątpienia są ciekawe i wyświetlają kwestje, które właściwie powinny być na forum dyskusji nieustannie, gdyż dokładna znajomość przeszłości polskiej w publicystyce i opinji naszej, zdaje się, należy do wyjątków. W pismach specjalnych porusza się szereg zagadnień, odwraca się nieraz podstawy oceny i punkty widzenia, a tymczasem opinja i prasa powtarza wciąż te same stare komunały. A więc chodziłoby o to, żeby prasa specjalistów nie omijała i nie była omijaną przez życie ideologiczne dnia, by nawiązać ścisły kontakt między twórczością badaczy, myślicieli a społeczeństwem Tylko celowa i sumiennie pojmująca swe zadanie publicystyka może zadaniu temu sprostać.

Pan Handelsman w studjum swoim „Zamach stanu Augusta II-go" dokonywa analizy nad „próbą" narzucenia myśli despotycznej przez niewiadomych członków jakiegoś zjazdu na Litwie, którego uchwały przechowały się w opisie p. t. „Zdrada J. X. Konstantego Brzostowskiego Biskupa Wileńskiego z J. P. Kazimierzem Sapiehą Wojewodą Wileńskim, Hetmanem W-m, W. X. Lit. Anno 1698". Dokument ów należy do bardzo ciekawych, gdyż ukazuje prąd myśli despotycznej, o której zwykło się sądzić, co zresztą i p. Handelsman, jako założenie ideowe uwypukla, że chodziło jej tylko o wolności szlacheckie. Drugą niezmiernie interesującą pracą jest wykazanie stosunku opinji francuskiej do naszej konstytucji z 3-ego maja 1791 r. Okazuje się, że część opinji francuskiej sławiła ową konstytucję, jako dzieło szlachetne Poniatowskiego, a nawet sądziła, że należy imię jego wypisać złotymi zgłoskami w panteonie ludzkości. Były, rozumie się i zdania przeciwne, lecz naogół przywitano ten nasz pierwszy demokratyczny manifest sympatycznie.

Materjały do dziejów Wsi polskiej przedstawiają się też interesująco. Właściwie o wsi polskiej z czasów naszej państwowości mamy zupełnie idyliczne pojęcia. Byt ekonomiczny, stosunek chłopów do państwa i prawa przedstawia się jeszcze dosyć mętnie i chaotycznie. Istnieją coprawda ogólne pojęcia, którymi stale posługują się historycy, lecz rzeczywistości tego chłopskiego bytu jeszcze dotychczas należycie nie odgrzebano, nie odtworzono Powszechnie cytuje się tylko znane prawo „jeżeli szlachcic chłopa zabił, psa zabił"; i tym podobne klasowe enuncjacje, lecz przecież odsłania to jedną stronę całości, nie daje pojęcia o całokształcie życia chłopskiego.

W „Gienezie Księztwa Warszawskiego" porusza p. Handelsman znaną sprawę nieszczerości Napoleona względem Polski. Kto ciekaw, niech pracę tę przeczyta, gdyż znajdzie poważne dowody, zrozumie dyplomatyczne szacherki Napoleona, Taylleranda i innych. Wogóle książka p. Handelsmana zasługuje, by ją czytały szerokie koła publiczności. Napisana jest bowiem przystępnie i rzeczowo, budzi przeświadczenie, że należy poważnie interesować się dziejami ojczystymi, jeżeli mamy ambicje świadomych obywateli swego narodu.

E. C.

KRYTYKA.

Upadek powieści literackiej.

2)

(Ciąg dalszy).

Kto chce leczyć skutki, musi zbadać naprzód przyczyny. A, badając przyczyny, należy przedewszystkim określić rozciągłość ich działania

Otóż, stwierdzić możemy, iż rozrost lektury sensacyjnej nie jest zjawiskiem wyłącznie naszym, miejscowym. Małą to wprawdzie stanowi dla nas pociechę, jednakowoż uwagi naszej ujść nie powinno, że Francja w chwili obecnej skarży się na upadek powieści literackiej równie boleśnie, jak Polska. Oczywiście, upadek ów we Francji, mającej po za literaturą wiele innych czynników samowiedzy narodowej, jest złym nierównie mniejszym, niżli u nas, gdzie literaturze, z roli dziejowej, przypada w udziale nie tylko zadawalanie smakoszostwa, ale i pełnienie służby publicznej.

Ponieważ zjawiska powszechne wynikają z przyczyn natury powszechnej, przeto wyświetlenie kanałów, którymi toczy się zaraza kryminalistyczna we Francji może dostarczyć nam wskazówek co do źródeł powodzi, jaka zalewa piśmiennictwo polskie. Krytyka francuska bowiem dawno już zwróciła uwagę na niepokojące obniżanie się poziomu twórczości literackiej i oddawna stara się tajemnicę jego przeniknąć, aby w następstwie móc mu zapobiec.

I Francja ma także swych Gąsiorowskich, swych Anatolów Krzyżanowskich i swoje panny Mniszkówny, z którymi napróżno walczy dowcip, smak, wykwintność i podniosły genjusz światłej, starożytnej, o klasyczną tradycję wspartej, kultury.

Swieżo, w ostatnim zeszycie miesięcznika *La grande Revue* znajdujemy sprawie upadku powieści literackiej poświęcony artykuł pana Charpentiera, który ciekawe światło rzucić może i na nasze także prądy wytwórczości literackiej. Ułatwi nam on, mianowicie wyłonienie żywiołów wspólnych, warunkujących rozpętanie literatury sensacyjnej we Francji i u nas; wykaże wspólną, naczelną tendencję zniżkową w piśmiennictwie dzisiejszym, determinującą jego upadek jakościowy nie tylko w Polsce i we Francji, ale i w Europie całej, nie tylko w Europie, ale i w Ameryce.

Pan Charpentier należy do pokolenia, które już ustępuje z pola. Odtrąciwszy pewien osad goryczy w jego słowach na rachunek organicznego pesymizmu, właściwego ludziom, którzy żyli długo i przeżyli wiele, wypadnie pogodzić się z nakreślonym przezeń przeciwieństwem między chwilą obecną, a okresem z przed lat dwudziestu pięciu.

Nie ulega wątpliwości, iż literatura dzisiejsza jest niepodobna do tej, jaka rozkwitała za dni jego młodości. Gdy wraz z rówieśnikami stawiał Charpentier pierwsze kroki na polu literackim, wówczas tęsknotom i zapędom młodzieńczej ich twórczości przyświecały gwiazdy sławnych imion Bandelair'a, Teofila Gautier'a, Teodora de Banville'a, Gustawa Flauberta, braci Goncourtów, Barbey'a d'Aurevilly i Emila Zoli. Ludzie ci byli to wzory, do których młodsze pokolenie chciało stać się podobnym.

Utwory owych pisarzy mieniły się barwami różnymi: były śród nich powieści romantyczne, jak dzieła Gautiera i Barbeya, wzruszeniowe jak Piotra Loti'ego, psychologiczne, jak Bourgeta, Goncourtów i Maupassanta, oryginalne i rzeźbione, jak Huysmansa, realistyczne i olbrzymie, jak Zoli, ale jednakowo o wszystkich powiedzieć trzeba, iż były to dzieła sztuki, w gorącym umiłowaniu twórczych uniesień poczęte. Gdy mówiono o nich, wyrażano się: „To jest literatura!" A gdy miano na myśli inne książki, powiadano: „To jest rzemiosło"!.

Że tłum woli wyrób rzemiosła ponad twór artyzmu, że przepada za powieściami, których ponęta cała leży w zawikłanej intrydze, o tym wiedziano, oczywiście i wówczas, i rozumiano to doskonale. Ale skłonności tłumu bynajmniej nie wydawały się wówczas groźne, ponieważ ponad poziomem smaku pospolitego istniała mocna elita czytelników, rozmiłowanych w dziełach wyższej umysłowości i wyszukanej sztuki.

Sztuka owa nie rozporządzała wprawdzie czasopiśmiennictwem, ani wielkim, ani drobnym, otwierającym swe łamy jedynie dla powieści awanturniczo-policyjnejnej. Wszelako, z chwilą założenia *Gil Blas'a* na którym *Echo de Paris* jęło wzorować się w następstwie, powieść literacka, zamknięta dotychczas w kilku rzadkich miesięcznikach, zstąpiła ku szerszym kręgom społeczności. Między rokiem 1890 a 1894 prasa codzienna rozpowszechniła cały szereg utworów o wybitnej wartości artystycznej. Śród nich pojawiały się rzeczy tak cenne jak *Là bas* Huysmansa, *Vamireh* Rosny'ego, *Sébastien Roch* Oktawjusza Mirbeau

Ten ruch cudowne zyskał poparcie dzięki drobnemu, ale wielce żywotnemu pismu: *La vie populaire* redagowanemu przez Catulle Mendès'a. Ten ostatni zamieszczał obok dzieł sztuki także prace rzemiosła, dostarczając w ten sposób urozmaiconej karmi rozmaitym gustom swej klienteli. Powieści Goncourtów, Zoli i Maupassanta przeplatały się tam z romansami Delpita, Andrzeja Theurieta i Jerzego Ohneta.

Dzięki rozległej tedy prężności, *Vie populaire* przesączała do szerokich mas powieść literacką, powieść w wysokim stylu, dającą wizję artystyczną.

Rozpoczęła się walka między powieścią literacką, a powieścią sensacyjną, opartą na grubej fabule ludowej lub też pałacowej.

W pewnej chwili ta ostatnia była blizka utracenia gruntu pod sobą: zdawało się, że jej wielkie powodzenie znajdzie rychły kres. To przekonanie tym bardziej mogło być usprawiedliwione, że w szlachetniejszym odłamie prasy codziennej wzięły na czas pewien górę prądy estetyczno-literackie, tworząc liczne ośrodki wzmożonej działalności twórczej.

Edmund Goncourt, jako mistrz niezaprzeczony, dzierżył wówczas berło powieści, był on „marszałkiem piśmiennictwa", jak w kilka lat później miał ochrzcić go Lorrain.

Flaubert oraz Goncourtowie byli, jak nikt inny, przedewszystkim artystami w powieściopisarstwie, byli, rzec można, wyznawcami kultu pisania; płonął w nich entuzjazm dla sztuki, cześć dla piękna rzeźbionego w słowie. Kochali oni styl dla samego stylu, za jego blask, za jego czarnoksięstwo, za głębię, tkliwość, harmonję, którymi potrafi olśniewać wówczas, gdy się opracowywa go tak, jak kunsztmistrz drogie opracowywa kamienie.

Przy takim trybie pisania, książka staje się rzadkim klejnotem, który dojrzewać musi długo, nim zajaśnieje krasą wykończenia. Dla Flauberta pisanie powieści nie było rzemiosłem, i nie było dlań również zawodem: twórczość była dla tego człowieka kapłaństwem. Oczywiście tak sumienne i zarazem subtelne pojmowanie zadań artystycznych nie prowadzi, ani do bogactwa, ani do rozgłosu, nie daje nawet podstaw średniej zamożności.

O tej ostatniej, nad wyraz przykrej prawdzie, jakże rychło przekonać się mieli młodzi uczniowie Goncourtów i Flauberta! Gdy wykończywszy rękopism, poczęli szukać wydawcy, otwierało się przed nimi całe piekło zgryzot i zawodów, piekło z wyrytym na drzwiach dantejskim napisem: „Porzućcie wszelkie nadzieje!"

Dzienniki odrzucały ich dzieła, ponieważ brakło im owej roznamiętniającej czytelnika intrygi, która przebiegle podbija żar oczekiwanie i zmusza do niecierpliwego śledzenia dalszych odcinków.

Flaubert mógłby zmartwychwstać dzisiaj w ca-

łym majestacie chwały, a jednak, mimo blasku imienia, mimo całą swą wielkość, prawdopodobnie nie zdołałby w żadnym z codziennych pism obecnych umieścić takiej np. *Madame Bovary*, a tym mniej jeszcze *Salammbô*.

Pozostawali tedy autorom jedynie księgarze — nakładcy. Atoli cóż otrzymać mógł autor początkujący za swe pierwsze dzieło? za dzieło miesiącami obmyślane, w ciszy wielkiej i w skupieniu poczęte, wypieszczone i umiłowane? Kilkaset franków — oto wszystko, za pracę nieraz całoroczną, niekiedy dłużej jeszcze trwającą. Ażeby praca ta przynieść mogła zyski poważniejsze, przedaż książki musiałaby osiągnąć rozmiary imponujące, dostępne tylko pisarzom o sławie ustalonej. Rozmiary także zapewnia jedynie szalona poczytność, grzmiący rozgłos śród publiczności. Nigdy autor początkujący liczyć nań nie może, choćby odrazu dał dzieło genjalne. Większość dzieł młodych autorów, ożywionych zapałem czystej sztuki, nie osiąga wtórej edycji, a więc suma 300—400 franków pozostaje całkowitym i jedynym ich zarobkiem za wysiłek caloroczny. Otóż jest to suma nie wystarczająca nawet dla zabezpieczenia człowieka od śmierci z głodu i chłodu.

Okazuje się tedy, iż, wobec norm powyższych, aby tworzyć dzieła sztuki, nie dość jest mieć talent Goncourta. Trzeba jeszcze posiadać jego rentę.

Wyświetliwszy okoliczność powyższą, p. A. Charpentier zatrzymuje się nad nią jako nad kardynalnym czynnikiem upadku powieści literackiej. Autor nie może się utrzymać z pracy pióra, jeśli pióro swe szanuje, twarda tedy konieczność stawia go wobec nieprzejednanej alternatywy, narzucając mu wybór między sztuką i rozkoszą tworzenia a przyjemnością życia. Musi on albo zniżyć się do smaku publiczności, czyli stać się rzemieślnikiem, nie chcąc umierać z głodu, albo też mieć stanowisko niezależne, któreby mu pozwoliło istnieć bez troski, od czasu do czasu tylko tworząc dzieła wysokiej miary.

Nie ulega wątpieniu, powiada p. Charpentier, że J. K. Huysmans nie byłby nigdy w możności stworzenia tych kunsztownych powieści, które są dla nas źródłem uciechy i rozkoszy radosnej, gdyby nie miał oparcia bytu w posadzie zajmowanej w biurach ministerstwa spraw wewnętrznych. Jako kawaler i poniekąd, odludek, mógł on pozwolić sobie na tę ładną pogardę dla pieniądza, która najlepsze świadectwo daje mądrości i rozwadze ludzkiej.

Lecz wszyscy artyści pełnić urzędów nie mogą; a przytym, nie wszyscy potrafiliby tak umiejętnie łączyć marzenia twórcze z porządkami administracyjnymi. Trzeba samemu doświadczyć męki tego podwójnego życia literata i razem w jednej osobie urzędnika, aby wiedzieć, ile ona kosztuje, jak strasznie przygniata i nuży.

(d. n.) *J. Tarczewski.*

„Listopad"— pana Mutermilcha.

(Teatr Mały).

Nienasycona gorączka teatralna wywołuje w całej Europie niejedno śmieszne zjawisko. Bo czy nie jest rzecz śmieszna, gdy po długotrwałych, żmudnych zabiegach reżyserji, aktorów, mechaników, prasy reklamującej — zwołuje się uroczyście do jednej sali kilkaset osób jeśli nie z czterech stron świata, to przynajmniej z czterech stron miasta i pokazuje im coś, co można, nieco trywialnie, nazwać *guzikiem*, nie guzem rżniętym naprzykład w szafirze, olśniewającym i cennym ze względu na wartość materjału i roboty, lecz zwyczajnym guzikiem blaszanym, w jaki grywają chłopcy na Powiślu, odrywając go czasem od własnych spodni (małe, lecz nieraz żenujące poświęcenie!)

Sztuka p. M. jest właśnie małym, lecz żenującym poświęceniem. Przez nie obnażył p. M. swą niemoc— w sferze woli przedewszystkim. Wydaje się na świat dzieło z pobudek woli, by umocnić lub zachwiać jakiś typ, by czegoś dokonać, coś przeprowadzić, zalecić lub zdemaskować, by jeśli nie wprost, to ubocznie zaśpiewać czemuś pieśń chwalebną lub szyderczą. Jeśli się coś robi w sposób spokojny i harmonijny, w majestatycznym rytmie, w atmosferze słonecznej i błękitnej, to ów pęd woli i jej zamiary mogą się nieraz wymykać z pod wzroków nie dość bystrych, lecz one płyną w dziele zawsze, tylko czasem zbyt głęboko, bez hałaśliwych katarakt, rzutów i pian. Niedość posiadać atomy talentu, błąkające się w różnych kierunkach według przypadkowych powiewów, trzeba te atomy skupić i nadać im określony kierunek. Artysta musi mieć charakter.

Czy p. M. miał charakter, to jest — czego chciał, pisząc sztukę? Chciał napisać sztukę. Lecz tego nie dosyć, by napisać dobrą sztukę.

Gdziekolwiek sztuka utrzymuje się na poziomie desek teatralnych i choćby niewybrednych gustów, tam zawsze jest wyraźny prąd woli autora. Na sztukach autorów polskich z lat ostatnich widać, jak ten prąd woli nieraz obniża się w swym charakterze, jeżeli jednak zachowuje swą prężność, to ocala sztukę przed ostatecznym rozbiciem. Z tryumfalnym wjazdem na deski teatralne *dulszczyzny* rozlega się chichotanie i natrząsanie z guzów i narośli filisterskich, chwilami tak zapalczywe i pełne próżności, że aż obrzękłe i niemal śmieszne w swem zajadłym zacietrzewieniu. Tu i owdzie skarykaturowana i po krawiecku przykrojona *wola mocy* żąda przywilejów. Słowem — bez względu na wzniosłość czy poziomość prądów — dramat jest przejawem zdecydowanych, nie rozbijających się bez ładnie kierunków woli, tak jak komedja jest ukazaniem śmieszności, gdy w sferze woli zajdą powikłania, bezłady i oślepienia.

Sztuka p. M. nie jest komedją, lecz ma pretensje do dramatu. W pierwszym akcie daje autor widok zatargu między urzędnikiem Rylskim, a jego zwierzchnikiem Ponieważ jednak w dalszym ciągu sztuki już do tego zatargu nie wraca, więc zupełnie niepotrzebnie podniecił tylko i zawiódł ciekawość widza, oczekującego konfliktów w sferze woli, konfliktów rzeczywistych, nie zaś wymachiwania tylko pręcikiem. Lecz właśnie ów zatarg urwany jest zwiastunem i pierwszym symbolem chwiejności zamiarów autorskich, owych zapędów wichrowatych, kończących się sypnięciem piasku w oczy. Tym piaskiem, który ma zaślepić widzów, a zarazem wynagrodzić im brak jędrności w sferze woli jest czułostkowość i melodramatyczność: widok człowieka umierającego i nieszczęśliwego (Rylski) niemającego w godzinie śmierci nawet tej pociechy, by kobieta, którą kocha, zrozumiała go i przebaczyła mu. Chodzi *tu* o to, że autor, skleciwszy naprędce kilka wybuchowo-neurastenicznych charakterów, nie wie *naprawdę* co z nimi robić, jak się uporać z Rylskim, Jazdowiczem i Zofją? Rylski jest chory, Zofja jest zdrowa i ma zwierzęcy apetyt do życia. Rylski także chce żyć i użyć. Potym ona zdradza, on chce zamordować. Potym ona nienawidzi, on umiera. Lecz cóż z tego? Poco trzeba słuchać tych smętnie rozkraczonych bajeczek, kusztykających przed widzami na kaczych nóżkach w ciągu całego wieczoru? Zdarzają się takie fakty w życiu, lecz obracanie ich w ręku i zestawianie nie daje jeszcze *sztuki*. Są to ramy bez obrazu. Takimi ramami są wszystkie ponure fakty: śmierć, samobójstwo, choroba — i każdy usiłuje w nie wstawić swój obraz, lecz wstawia w nie obraz tylko artysta twórczy. Sztuka p. M. jest ramą bez obrazu. Widz musi na tle i w rozmiarach tej ramy wstawiać swój własny obraz. Wprawdzie pozostawio-

no mu wolność wstawienia obrazu nawet tak pięknego, jak skradziona Gioconda, lecz on czuje się zawiedziony, bo przyszedł oglądać obraz, malowany ręką p. Muttermilcha.

Leon Choromański.

NA DOBIE.

„Drzewo życia".

(Odczyt T. Micińskiego).

Autor *Nietoty* lubuje się, jak wiadomo, w mglistej formie i niespodziewanych efektach, co wywiera niezaprzeczony urok na tłum snobów, żądnych podniet najbardziej egzotycznych zwłaszcza w dziedzinie zjawisk „cudownych" których niezrozumiałość mile zaciekawia i pieści stępione nerwy. Ludzi poważnych natomiast maniera p. Micińskiego zniechęca i odstręcza, choć przyznać należy, że z pod tej wrodzonej czy też nabytej przykrej maniery prześwieca niekiedy błysk prawdziwego talentu. Że zaś p. Miciński corychlej i bardzo skutecznie przesłania go „mrokami gwiazd" — tym gorzej dla niego i — dla nas.

Biorąc do ręki jakiekolwiek dzieło p. Micińskiego ma się wrażenie, że oto przepiękną, barwną i bogatą mozaikę kapryśny czy też niepoczytalny twórca rozbił, pokruszył, pomieszał, pogmatwał, poczym bezkształtną tę miazgę wystawia na widok publiczny z uśmiechem skromnego zadowolenia. Jest to jeden jeszcze przyczynek do sprawy wiecznie żywotnej — samounicestwiania naszych talentów.

Odczyt pod zagadkowym tytułem *Drzewo życia*, wygłoszony ubiegłej soboty w pełnej sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa miał, na szczęście, wszelkie cechy improwizacji: było w nim sporo szczerości i natchnienia, a nieco mniej niż zwykle pozy i maniery; prelegent snadź nie wykoszlawił, nie wypotwornił po cudacku swej myśli, bo nie miał na to czasu... Treść odczytu mogli słuchacze bez nadmiernego mozołu wyłuskać jak ziarno z łupiny zwykłych „mistycznych" omówień — i okazało się, że p. Miciński potępia w jaźni ludzkiej złe, napół zwierzęce odruchy instynktu, chwali zaś stany ducha wyższej kategorji, co nie należy do rzędu niesłychanych objawień. Ponieważ nadto wielbi poeta rzetelność i pracowitość ludu roboczego, którego cnoty w kilku pięknych obrazach zilustrował, oburzając się zarazem na płytkość charakterów i zepsucie sfer zamożnych po wielkich miastach, gdzie stale odprawia się jakoby „czarna msza"— więc można mu było wybaczyć końcowe potępienie w czambuł cywilizacji nowoczesnej i zalecanie praktyk ascetycznych derwiszów indyjskich, w osobie których upatruje prelegent najwyższe objawienie ducha rasy aryjskiej.

Poseł Napieralski kupuje.

Wielkopolski i śląski klerykalizm, obdarzywszy Galicję Zimmermanem, piewcą „księżych gospodyń" obecnie przelewa się przez kordon i do Królestwa.

Ruchliwy, zasobny i ustosunkowany w kołach klerykalnych poseł Napieralski, wydawca kilku popularnych pism w zaborze pruskim, nabył ostatnio cały szereg organów prowincjonalnych w zachodniej części Królestwa, jakoto: *Głos Zagłębia*, *Ziemia Kielecka*, *Goniec Częstochowski* i t. d. Całego dorobku ruchliwego posła nie sposób wyliczyć, bo nie mamy jeszcze pewnych w tej mierze informacji. Organizowany przezeń trust wydawniczy chciał jeszcze zagarnąć i krakowski antysemicki *Głos Narodu* ale rokowania spełzły na niczym. Natomiast nabycie *Dziennika Berlińskiego* jest już podobno faktem dokonanym.

Niebawem cała sforna rzesza gazet posła Napieralskiego, po stosownej tresurze, zacznie głuszyć wszystkie trzy polskie dzielnice zgodnym wychwalaniem jego zalet, czego pierwszą próbę czyni właśnie sosnowiecki *Głos Zagłębia*.

Opanowanie tylu wybitnych placówek myśli i pracy kulturalnej przez ajenturę klerykalną jest dla polskiej idei narodowej i świeckiej niebezpieczeństwem poważnym, na co zawczasu zwracamy uwagę ogółu naszego.

Obrazki trypolitańskie.

W maju 1835 r. flota wojenna turecka pod wodzą Mustafy Nedżida-paszy ukazała się u brzegów wolnej Trypolitanji. A wolną była Trypolitanja w tym sensie, że zagnieżdżonym w niej zbójom i korsarzom wolno było grabić i łupić sąsiednie kraje, zaś chwytany na całym pobrzeżu „żywy towar" sprzedawać z dobrym zyskiem. Ówczesny władca t. j. główny korsarz i zbój Sidi-Ali nie podejrzewając nic złego, przybył na okręt admiralski z uprzejmą wizytą Mustafa Nedżid-pasza zatrzymał gościa na długo, a nawet kazał mu nałożyć łańcuchy na ręce i nogi, by go tym snadniej u siebie zatrzymać, Jednocześnie silny oddział turecki wysiadł na ląd i zajął forty bez najmniejszego oporu.

Tak zdobyli Turcy Trypolitanję.

Pod rządami Sułtana niewiele zmieniły się tamtejsze stosunki. Ludność po dawnemu jest ciemna, dzika, nędzna i fanatyczna. Jak dawniej ściągają do miasta z Lybji i Sahary szajki łupieżczych arabów z Borku i półdzikich murzynów z Fezzanu. *Vis-à-vis* naszego lądu był Trypolis jakby ostatnim szańcem Pustyni, zwróconym nieufnie i groźnie przeciw cywilizacji ludzi białych.

Korespondent paryskiego *Tempsa*, który zwiedzał Trypolis niedawno, nie mógł bez dreszczu trwogi i odrazy przejść przez cuchnące robaczywe miasto, gdzie zewsząd szły doń złe błyski wilczych jakby spojrzeń i szczerzył zęby bestjalski fanatyzm ludzi-tygrysów, ludzi-hyjen i ludzi-szakali.

Natomiast widok załogi tureckiej budził uśmiech politowania. Żołnierze obdarci i zgłodniali żyją z jałmużny i drobnych posług. Odzież na nich wisi w strzępach, a przez mundury bez formy i koloru prześwieca bronzowe ciało.

„Kierując się znowu ku miastu przechodzimy obok pałacu gubernatora i przyległych koszar. W otwartych na oścież drzwiach przykucnął kapral artylerji, zajęty bardzo poważnie reparacją starych spodni".

Z taką armją Turcja nie mogła marzyć o skutecznej obronie, to też, kiedy w październiku 1911 r. flota wojenna włoska ukazała się u brzegów Trypolitanji, sułtan Mahomet V stracił swoją posiadłość afrykańską równie łatwo i prędko, jak prędko i łatwo „nabył" ją w r. 1835-ym Mustafa-Nedżid-pasza, wojennik szczęśliwy i gościnny pan.

Mane Tekel..

Sprzysięgły się pono wszystkie ziemskie i piekielne moce, by nas z gleby ojczystej wyrugować, a imię Polski wymazać z pamięci ludzkiej.

Wiemy o tym i bronimy się, gdzieniegdzie leniwie, indziej z lepszym skutkiem. Aleśmy jeszcze nie dostrzegli że wrogiem najbardziej dla nas zabójczym jest nasza własna *niezaradność*.

Za jej to sprawą nie potrafiliśmy, Polacy, mimo przychylnych warunków, stworzyć *polskiego przemysłu*, nie umieliśmy zawładnąć terenem pracy twórczej, jedynym bodaj, otwartym dla wolnej konkurencji.

I dziś do kraju naszego, skąd corocznie wychodzi w świat sto tysięcy nędzarzy, z butnym tryumfem wkracza obca przedsiębiorczość... I o dziwo! ziemia, co synom swoim macosze okazuje względy, na tych przybyszów sypie skarbami Golkondy!

Zdobywszy przemysł tkacki, przędzalniczy i górniczy w Królestwie, zwalił się kapitał zagraniczny na Zagłębie Krakowskie i tuż u murów Wawelu szturmem bierze w posiadanie iście złotodajne przestrzenie.

A wiedział, gdzie uderzyć: Galicja ma w Zagłębiu Krakowskim 25 miljardów tonn węgla, a źródła nafty podkarpackiej lepsze są i większe od amerykańskich...

W sercu naszego kraju, u prastarych wrót Krakowa, drzemią pod ziemią skarby olbrzymie, nieobliczalne bogactwa, po które dość schylić się by je mieć. Ale żaden Polak nie schylił się po nie: ani ten, co przegrywał dochody z dóbr swoich w Monaco, ani ten, co wzdychał do złotego kołnierza, symbolu karjery urzędniczej, ani wreszcie ten, co dzielił czas swój pomiędzy zawiłą egzegezę mistyczną naszych wieszczów i scholastyczne dyskusje różnych sekt rewolucyjnych i odrodzeńczych...

Schylił się ktoś inny: Anglik, Francuz, a nadewszystko Niemiec z pobliskiego Śląska. Pod wezbraną falą przemysłu niemieckiego znika w oczach polska fizjognomja Zagłębia Krakowskiego, gdzie Chrzanów, Oświęcim, Trzebinia i Szczakowa są już miastami o typie semicko-niemieckim.

„Miasta te i osady fabryczne — pisze *Dziennik Polski* — skłonne do germanizacji i posiłkowane napływową ludnością niemiecką, nie będą mogły oprzeć się germanizacji, która coraz silniej, w miarę powstawania nowych kopalń i przedsiębiorstw, zapuszczać tu będzie korzenie. Sąsiedztwo wielkiego przemysłu górnośląskiego i ciągła z nim łączność, ściągać będzie będzie do kraju pruskich inżynierów i przemysłowców, którzy wyeksploatują wszystko, co tylko możliwe do eksploatacji... Twierdze germanizmu powstaną tuż pod Krakowem, twierdze, trudne do zdobycia, bo oparte na wielkim kapitale, użytym celowo, wspartym na dokładnej rutynie, nabytej wiekami pracy ekonomicznej... Idzie ten potężny nieprzyjaciel na zdobycie naszego Zagłębia; idzie zwycięsko, nie napotkawszy żadnej przeszkody, gdzie zamiast oporu, znajduje przyjazny sobie element: proletarjat polski i żydowski, czekający na pracę w kraju, na nowe źródła dochodu... Drogę na wschód ma otwartą. Po drodze witać go będzie ludność zżydziałych miast, a z tyłu stoi sojuszuik pruski"...

A oto straż przednia najazdu: przemysł naftowy eksploatuje kapitał angielski W samych Tustanowicach ulokowały dotychczas liczne ich towarzystwa 54 miljony koron. Węgle, galman, nafta, są już w rękach obcych.

Galicja staje się „kolonią przemysłową obcych mocarstw". Rząd francuski czyni starania o koncesję na bank „Francusko-Galicyjski". Prusacy, anglicy, francuzi i żydzi wyrywać sobie będą korzyści z eksplotacji kraju, resztę weźmie, cierpliwie patrzący na to wszystko, skarb państwa.

Takie więc baltazarowe głoski jawią się na murach Krakowa, stolicy naszych parnasistów i mistyków, o jednym z których pisał Nowaczyński ze żrącym sarkazmem:

Lubię, *devasie*, ja myśli chłopięce,
Lecz sądzę, chyba padłeś ty na głowę,
Życząc dla Polski *rządy Juljuszowe*...
Przebacz, że wróżbie twojej łeb ukręcę.
Rządził tu będzie wnet, w którego ręce
Będą (wiedz smarku!) *zagłębia węglowe!*

Arkadja mnichów.

W nader ciekawym i jaskrawym świetle występuje klasyczny klerykalizm i wstecznictwo naszej nieszczęsnej Galicji — una oczniony w liczbach.

Na oświacie, dobrobycie, praworządności, postępie społecznym — zbywa w tej krainie obiecanej księży, szlachty i podupadłych karmazynów, jednak wbród tu klasztorów i mnichów...

Galicja liczy ich obecnie 652 (w tym 135 męzkich i 517 żeńskich), a w nich gnieździ się 6,315 „świętobliwych" mnichów i mniszek. W tym ubiegła naszą Galicję jeno Austrja Dolna utrzymująca aż 2,211 męskich i 6,171 żeńskich „pasorzytów" społecznych. Ale Galicja jest krajem, bądź co bądź, „postępowym", ona idzie naprzód, i gdy w r. 1843-im co do liczby klasztorów zajmowała w mocarstwie Habsburgów — zaledwie... czwarte miejsce, dziś posunęła się na II-ie, a „da Bóg", że z czasem i Astryjaków prześcignie.

— Może na tym polega w galicyjskich „kołach" — punkt narodowego honoru? Słuszne przysłowie: „co kraj, to obyczaj". I ona zdobywa się na wybitną osobowość... Bo liczy w zaraniu XX-ego stulecia — 56 odsetek ludności nieczytelnej i niepiśmiennej; są tam pono powiaty, w których odsetek ów między kobietami sięga potwornej liczby 80-ciu!

W 1,300 gminach niema wcale szkoły, w 600 szkołach niema wcale nauczyciela, a nadto każdy czternasty nauczyciel i każda trzecia nauczycielka nie mają żadnych egzaminów ani kwalifikacji! Według liczby dzieci, które w myśl ustawy obowiązane są uczęszczać do szkoły, powinno być w Galicji 9,000 szkół, a jest ich zaledwie 5,000.

Tu więc również Galicja jest „postępową". Dała się mimo to wyprzedzić pogrążonej w średniowiedczyźnie—Bukowinie, no i... „arcykatolickiemu" Tyrolowi, temu „złotemu jabłuszku" ciemnoty i klerykalizmu gdzie 9 proc. nauczycieli zajmuje się codziennym zamiataniem zakrystji, 18 proc. spełnia równocześnie czynności grabarzy, a 13 proc. posługuje księżom podczas nabożeństw.

O gdyby tak nasz Krasicki przesunął swą pamiętną „Monachomachję" na rok pański 1912-y, zatęchły i kołtuński zaścianek galicyjski dostarczyłby równie plastycznego tworzywa do tego dzieła, jak ośrodki „świętych próżniaków" za czasów króla Stanisława...

Szkoła nauk społeczno-politycznych w Krakowie.

Wśród społeczeństw cywilizowanych, jesteśmy chyba tem, które najmniej się interesuje grupą nauk społeczno-politycznych i w którym ludzie wykształceni literacko, zajmujący się ogólno-kulturalnym dobytkiem, zdradzają często zupełną niewiedzę w zakresie najważniejszych zagadnień społecznych, ekonomicznych i politycznych.

Dziwić to i boleśnie dotykać musi u nas tych, których najważniejszym zadaniem na dziś jest ekonomiczne i społeczne podniesienie krajów polskich, a na najbliższe jutro przywrócenie im samodzielności politycznej. Z radością też powitać trzeba usiłowania grupy społeczników i uczonych naszych, którzy b. r. otwierają w Krakowie I kurs *Szkoły nauk społeczno-politycznych.*

Szkoła ma za zadanie dawać naukę młodzieży wyższych zakładów naukowych, oraz szerokiej publiczności. Na rok pierwszy nie stawia wymagań pod względem kwalifikacji słuchacza, ale poziom wykładów projektuje uniwersytecki. Podobnie zaczynała słyn-

na dziś szkoła nauk ekonomicznych i politycznych w Londynie,[1]) bo tam i tu inicjatorem było stowarzyszenie, składające się z ludzi mało zamożnych, o poglądach postępowych, zapatrzonych w ideał bezpartyjnej nauki, która przecież w tym właśnie zakresie liczyć się musi z aktualnymi potrzebami społeczeństwa i postępami nauki. Obecnie program szkoły londyńskiej obejmuje 3 lata nauki. W szkole nauk społeczno-politycznych w Krakowie otwarte będą w roku najbliższym 2 kursa, zapis rozpocznie się od 3 października, a wykłady z początkiem listopada. Trwać będą do 1 czerwca.

Program I kursu (3 i pół miesiąca) jest następujący:

I. Ekonomja i polityka społeczna.

Z. Heryng: „Istota zjawisk społecznych i sposoby ich badania". (16 godzin).

Dr. Z. Gargas: „Historja ekonomji w Polsce przed XIX wiekiem" (4 g).

Dr. Z. D.-Golińska: „Dzieje ekonomji w Polsce w XIX stulecia" (6 g.).

Prof. Dr. Fr. Bujak: „Etapy rozwoju ekonomicznego w XIX stuleciu" (6 g.).

W. Studnicki: „Ameryka i Europa". Zarys ekonomiczno-społeczny (10 g.).

Br. H. Landauowa: „Kwestja agrarna" (10 g.).

Prof. Dr. A. Krzyżanowski: „Współczesny ustrój pieniężny i jego zasady" (6 g.).

L. Kulczycki: „Syndykalizm" (3 g.).

Dr. F. Stefczyk: „Znaczenie i warunki rozwoju kooperatyw" (4 g.).

Dr. L. Caro: „Emigracja i osadnictwo" (3 g.).

Dr. A. Gross: „Kwestja mieszkaniowa" (4 g.).

Z. Heryng: „Teorja i praktyka ubezpieczeń" (10 g.).

K. Stefański: „Współczesne stosunki ekonomiczne Królestwa Polskiego (6 g.).

Dr. R. Beres: „Produkcja i konsumcja Galicji (6 godzin).

„Stosunki polityczne i ekonomiczne w Poznańskiem" (nazwisko pregenta będzie później podane).

II. Prawo i socyologja.

„Socyologja" (10 g. Nazwisko prelegenta będzie później podane).

J. Wł. Dawid: „Psychologja społeczna" (16 g.).

Dr. Z. D.-Golińska: „Rozwój i cechy ludności od drugiej połowy XIX (10 g.).

Dr. W. Jodko: „Z dziedziny prawa państwowego" (4 g.).

Dr. Wł. Gumplowicz: „Państwo twórcze, procesy dziejowe" (10 g.).

Dr. J. Gertler: „Samorząd krajów, miast i gmin" (10 godzin).

I. Daszyński: „Poseł, jego prawa i obowiązki" (4 godzin).

Dr. Reinhold: „Prawo prasowe".

III. Historja polityczna i historja cywilizacji.

L. Krzywicki: „Historja kultury polskiej od końca XVIII w." (10 g.).

B. Limanowski: „O rewolucji 1846 r." (2 g.).

J. Piłsudzki: „Historja militarna powstań polskich" (10 g.).

S. Szpotański: „Spiski polskie w pierwszej połowie XIX w." (10 g.).

W. Feldman: „Franciszek Smolka i Florjan Ziemiałkowski". Kartka z historji Galicji i Austrji (5 godzin).

W. Studnicki: „Rosja i jej antagoniści" (6 g.).

L. Wasilewski: „Kwestja ruska" (10 g.).

Dr. F. Perl: „Historja socjalizmu w Polsce" (8-10 g.).

T. Filipowicz: „Początki socjalizmu w Anglji.

[1]) „London School of Economies and Political Science".

Dr. M. Stępowski: „Organizacja oświaty u nas i u obcych" (4 g.).

K. Srokowski: „Historja i technika dziennikarstwa" (10 g.).

Ponadto zarząd Tow. szkoły stara się o prelegentów, którzyby uzupełnili dział II wykładami o państwie, podatkach i parlamentaryzmie.

Program przewiduje, że każdemu cyklowi wykładów towarzyszyć będą konwersatorja, w których słuchacze mogliby sobie wyjaśnić punkty sporne i zasięgnąć wskazówek co do dalszej samodzielnej pracy. Stała komisja z pomiędzy prelegentów miejscowych udzielać jęła od 1-go października porady w kwestji pracy naukowej. Tworzy się też bibljoteka podręczna, z której słuchacze i prelegenci będą mogli korzystać na miejscu.

Jak widać z programu „Szkoła" uwzględniać będzie przedewszystkim stosunki polskie i czasy nowe, w dziale historycznym nie zstępując poza wiek XIX. Licząc się z wykładami w uniwersytecie Jagiellońskim, szkoła nie wprowadza do swego programu całokształtu przedmiotów takich, jak ekonomja lub polityka społeczna. O ileby się jednak znalazło liczniejsze grono słuchaczów dla takich systematycznych całorocznych wykładów, zarząd skłonny będzie zająć się ich urządzeniem.

Oprócz trzech omawianych wyżej działów, spotykamy w programie IV „Życie publiczne", który przewiduje osobne wykłady o kwestjach aktualnych, jak obrona kresów, kwestja kobieca, kwestja żydowska, drożyzna, alkoholizm, oraz o nowych teorjach socyologicznych i społeczno-politycznych. Tu włączone być mają ćwiczenia wymowy i prowadzenia obrad, odczyty publiczne prelegentów obcych i t. p.

Jak widzimy, program szkoly nauk polityczno-społecznych różni się zasadniczo od powstającej jednocześnie szkoły politycznej z kierunkiem konserwatywnym. Nie ulega wątpliwości, że obie szkoły będą ze sobą rywalizować, że szkoła konserwatywna opiera się na silniejszej podstawie materjalnej, że jest niejako ekspozyturą prawniczego wydziału w uniwersytecie Jagiellońskim. Nie rozstrzyga to przecież o wartości szkoły, a nawet o jej powodzeniu. Demokratyzacja i postępowe prądy robią w naszym społeczeństwie tak szybkie obecnie postępy, że miejmy nadzieję, iż znajdzie się dość słuchaczów, aby z postępowej szkoły nauk społeczno-politycznych korzystać, a nie zabraknie przyjaciół, którzyby usiłowania jej prelegentów i zarządu podtrzymali.

Opłata za wykłady jest bardzo nizka, szkoła pragnie bowiem oprzeć się głównie na wkładkach członków Towarzystwa.[2])

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Religja i Kler.* Współpracownik *Kur. Porannego* zetknął się niedawno z grupą ludzi, doskonalących się przez „umiejętne badanie Pismu św.". Na czele tego ruchu stoi p. R. Oleszczyński, który w Chicago wydaje pismo p. t. *Kazalnica Ludowa* i liczy swoich

[2]) Wkładki wynoszą: Członek założyciel 200 koron jednorazowo, członek wspierający 20 koron rocznie, członek zwyczajny 1 koronę miesięcznie. Informacji wszelkich udziela Sekretarjat, Kraków, Wolska 13. II p.

Biuro od 3-go października otwarte codziennie od 5-7, z wyjątkiem niedziel i świąt.

adeptów na dziesiątki tysięcy. Podobno i w Warszawie „badacze Pisma św.” zyskali licznych zwolenników w niższych i średnich warstwach ludności.

Tego rodzaju ruch religijny dla nas będący nowością, na zachodzie, a zwłaszcza w Anglji i Ameryce Półn. należy do rzeczy zwykłych i w urzędowych kościołach protestanckich nie budzi żadnego niepokoju. U nas inaczej. Zaledwie dowiedziawszy się o istnieniu nowej „sekty” klerykalny *Dziennik Powszechny* z takim wystąpił biadaniem:

> Ostatecznie, gdyby w Polsce był tysiąc, dwa, trzy, nawet dziesięć sekciarzy różnego pokroju, utonęliby oni bez śladu w wielomiljonowej masie narodu polskiego, ale wiemy, że jest ich więcej. Wiemy też, że grunt pod coraz to nową odmianę sekciarstwa jest przygotowany. Sfera ludu prostego i niekrytycznego poddaje się — nawet z łatwością improwizowanym misjonarzom. Jest źle, bardzo źle. Nasz wolnomyślny radykalizm, którego religja nic nie obchodzi, tryumfuje — są bowiem tacy, co za niego i dla niego pracują.
>
> Radykał bezwyznaniowiec nie trafi do umysłu, wyobraźni i serca prostaka, ale sekciarz prostaczy trafi niewątpliwie: on argumentuje. Z jego argumentów zarówno wolnomyśliciel jak wykształcony śmiać się będzie, ale lud słucha go poważnie.

Małe w tym miejscu sprostowanie: z argumentów szczerze wierzącego człowieka „zarówno wolnomyśliciel, jak i wykształcony (?)” śmiać się nie powinien i nie będzie, bo choć tych wierzeń nie podziela, to je *toleruje* i uszanować potrafi. Niejednokrotnie zaznaczaliśmy z naciskiem, że obudzenie się twórczej myśli religijnej wśród ludu naszego, który dotąd hołduje li tylko zewnętrznej napół pogańskiej formie obrzędów — uważamy za fakt społecznie i narodowo *dodatni*.

Natomiast wyszło na jaw, że te właśnie koła, co pragną uchodzić za obrońców zaniedbanej wiary — bynajmniej nie interes religji mają na celu, lecz interes kleru, a to są dwie rzeczy różne.

I oto co najbardziej publicystom *Dziennika* dolega:

> Sekciarze mówią: „My nie tworzymy nowej religji, my tylko chcemy, by ludzie badali Pismo św.: w nim spoczywa prawda“.
>
> A człowiek z ludu odpowiada: „Ano, oczywiście w Piśmie św. jest prawda“. I czyta Biblję i słucha komentarzy. Sekciarz argumentuje: „Każdy, kto przeglądał Pisma św., łatwo mógł zauważyć, że niema w nich ani wzmianki o arcybiskupach, kardynałach lub papieżach. Nikogo one nie tytułują wielebnym, przewielebnym, najprzewielebniejszym, jego eminencją, lub świątobliwością“.
>
> „Łatwo również zauważyć się daje, że pierwsi chrześcianie nie tworzyli, ani nie utrzymywali tak zw. dziś „kleru“, któryby był na żołdzie wiernych, ale wyraźnie jest zaznaczone, „aby (głoszący naukę) w pokoju czyniąc, swój własny chleb jedli“. List do Tess. 3:6 — 15“.
>
> Sekciarz, mianujący się badaczem Pisma św., ciągle cytuje najautentyczniejsze wersety Biblji, dowodząc: że w niej niema nic o wznoszeniu wspaniałych kościołów o budowaniu plebanji dla księży, pałaców dla biskupów, ani Watykanu dla Papieża itd. itd. Człowiek z ludu słucha i słucha, myśląc ciągle: „Tak stoi w piśmie o tym“, więc tak jest, jak kaznodzieja mówi. Mówi prawdę...
>
> I niema nikogo, ktoby mu, temu częstokroć poczciwemu i dobremu człekowi, wytłómaczył: że to, co sekciarz podał jako prawdę, nie jest prawdą, że te cytaty „misjonarza“ w swej istocie prawdziwe, oderwane od całości, służą do omamienia, zwłaszcza przy naciąganym komentowaniu“.

Tyle pobożny *Dziennik*. Organ warszawskich kalchasów wie doskonale, że cytaty biblijne służą do „omamienia” zwłaszcza przy „naciąganym komentowaniu”. Tymbardziej więc lęka się groźnej konkurencji. Tych obaw nie chcemy ze swej strony rozpraszać, bo są realne i zasadne, ale nadmienić musimy, że treść powyższych dwóch cytat najbardziej nawet „naciąganym” komentarzem zmienić się nie da.

KRONIKA.

ILE SPOŻYWA WARSZAWA? Mleka wypija Warszawa mniej więcej 200,000 litrów (kwart) dziennie. Oczywiście jest to mleko rozmaitych gatunków, chrzczone, rozwodnione i tańsze, albo czyste, kontrolowane i nieco droższe. Tak samo w tej dziedzinie, jak we wszystkich dziedzinach handlu artykułami spożywczymi, Warszawa jest zdaną na łaskę przekupniów i pośredników. Stąd np. trudno stwierdzić, ile jaj spożywa nasza stolica. Chłop przynosi jaja na jarmark, gdzie go zaraz obstępuje banda przekupniów i nabywa od niego cały zapas. Dalsze drogi, jakiemi te jaja dostają się na rynek, są mniej więcej tajemnicze. Cukru spożywa średnio każdy mieszkaniec Warszawy i Królestwa 21 funt. Jest to przeciętna bardzo mała, jak na artykuł spożywczy nadzwyczajnie pożywny, Statystyka stwierdza, że im wyżej stoi jakiś kraj pod względem kulturalnym, tym więcej przypada cukru na jednego mieszkańca. W takiej np. Anglji przeciętna ilość spożytego cukru jest dwa razy większa, niż u nas. Ale bo też każdy Anglik ma dochodu średnio 240 rb. rocznie, gdy mieszkaniec Rosji zarabia średnio jeno 65 rb. rocznie. Tygodniowa sprzedaż warzyw w Warszawie wynosi 200—250,000 rb. Owoce są dzięki brakowi właściwej organizacji w tej gałęzi handlu niezmiernie drogie, tak dalece, że ludność uboższa nie jada ich prawie wcale. Wódki wypija każdy mieszkaniec Królestwa, licząc przeciętnie, około pół wiadra rocznie, a piwa trzy szklanki na tydzień Najdrożej jednak kosztuje Warszawę wino szampańskie, gdyż rocznie wydaje się na nie około 2 miljonów rubli.

WYCHODŹTWO Z PAŃSTWA ROSYJSKIEGO. Główny kontyngens wychodźców z państwa rosyjskiego stanowią żydzi, średnio przez ostatnie 10 lat 45,4 proc. ogólnej liczby wychodźców. Polacy stanowią czwartą część, a Rosjanie — 4 proc., Litwini (z Łotyszami) — 9,3 proc., Finowie — 8,5 proc., Niemcy — 5,7 proc. Lata 1903 i 1904 dały zwiększony odsetek wychodźców Rosjan, który w 1905 nieco się zmniejszył, by w 1906 wzrosnąć o przeszło połowę; lata zaś 1907-8 — lata kontrrewolucji — dają olbrzymią liczbę emigrantów Rosjan 16,200 i 16,400; w 1909 liczba ta spadła do 9,169. Liczba wychodźców Polaków stale wzrasta, dochodzi w 1903 do 39,500 ludzi, w 1904 zniża się do 32,000 a w latach 1905, 1907 gwałtownie się podnosi, dosięga 46 do 47 tysięcy na rok. W 1907 r. znowu skok w górę — do 73 tysięcy. Rok 1908 zniża tę liczbę do 38 tysięcy, która pozostaje i w 1909 r.

Inaczej przedstawia się wychodźtwo żydowskie. W pierwszych trzech latach (1900 — 1902) liczba wychodźców żydów trzymała się prawie jednego poziomu: 37 do 38 tysięcy rocznie. W 1903, 1904 po pogromie kiszyniowskim i w okresie wzmożonych represji antyżydowskich liczba wychodźców szybko wzrasta. W 1903 r. emigrowało 48 tys., w 1904 — 78 tys., w 1005 — 92 tys. i wreszcie w 1906 — 125 tys. W roku 1907 — liczba wychodźców żydów się zmniejsza (72 tys.) i spada do 39 tys. w roku 1909.

Co się tyczy t. zw. powrotnej fali wychodźczej, to w r. 1908-9 wróciło Rosjan $^2/_5$, Polaków przeszło $^1/_3$, Finów $^1/_4$, Litwinów do $^1/_5$, żydów mniej niż $^1/_{10}$, a Niemców $^1/_{25}$.

Wynika z tego, że Rosjanie, a częściowo i Polacy emigrują w celu znalezienia zarobku, z zamiarem powrotu do kraju. Przyczym ten prąd emigracyjny i fala powrotna zależą w znacznym stopniu od konjunktury ekonomicznej w Ameryce. Żydzi zaś szukają sobie znośniejszego miejsca pobytu.

STATYSTYKA Z XX-EGO STULECIA... „Ciekawe” dane przytacza ministerjum sprawiedliwości o niebywałym wzroście więźniów w państwie rosyjskim.

Wówczas, gdy w r. 1897 średnia liczba więźniów

wynosiła dziennie 77,254 osoby, w r. 1902 liczba ta wzrosła już do 96,005, w r. 1906 do 111.403, w r. 1907 do 138,000, w r. 1908 do 171,219 i w r. 1909 do 175,007. W ubiegłym roku średnia liczba więźniów zmniejszyła się dziennie do 171,274 osób, ale już w roku bieżącym zauważyć się znowu daje znaczne zwiększenie tej liczby. W styczniu r. b. więźniów dziennie było przeciętnie 179,841, w lutym, marcu i kwietniu — 182,000, a w maju i w czerwcu — 176,000.

Ministerjum zwraca w końcu uwagę na powiększenie się w ciągu ostatnich lat kategorji więźniów długoterminowych. Skazanych do robót ciężkich jest obecnie 30 tysięcy więźniów, skazanych do rot aresztanskich — około 32 tysięcy ludzi.

PUŁAWY W RUINIE. Zniszczenie parku w Puławach, szczególnie alei, wiodącej do jednej z najwspanialszych niegdyś rezydencji Czartoryskich, obecnie przerobionej na instytut agronomiczny, jak stwierdza *Kurjer Warszawski*, postępuje bardzo szybko. Trudno sobie wyobrazić nawet zaniedbanie, jakie przedstawia przepyszny ten do niedawna park. Stan tego parku, a zwłaszcza dojazd poszóstną aleją od strony Końskiej Woli jest w rażącej sprzeczności z celem i zadaniami teraźniejszego instytutu, mającego kształcić przyszłych gospodarzy rolnych i leśników.

„Nie znamy budżetu instytutu, pisze *Kurjer Warszawski*, nie wiemy, jakie środki pieniężne są przeznaczone na konserwację parku i alei, mogących stanowić chlubę zakładu, lecz gdyby nawet rząd nic nie udzielał, możnaby własnymi siłami wychowańców zaopatrzyć jako tako ginące drzewa i posadzić nowe w miejsce uschłych. W parku zniszczenie widoczne jest na każdym kroku. Na wspaniałym ongi podwórzu stoi, jakby cudem ocalała jedyna lipa.

Stan ogrodzenia, bram i budynków godny jest pożałowania. Piękna oranżerja z fasadą grecką poza tunelem, jest w stopniu ostatecznej ruiny. Terytorjum parku i rezydencji zeszpeciły fatalne budowle mieszkalne (z lewej strony alei głównej dla profesorów, oraz budy dla stacji wodociągowo-gazowej) w samym sercu parku wzniesione”.

Wogóle patrząc na widoki Puław z roku 1830 i spojrzawszy na teraźniejsze przeróbki, trudno już nawet odnaleźć pierwotny zarys wspaniałego pałacu.

HANDEL ZEWNĘTRZNY ROSJI. W czasie od 14-go stycznia do 9-go września r. b. przez główne komory celne Rosji europejskiej wywieziono towarów za 906,982,000 rb., gdy przywóz w tymże czasie obejmował 668,034,000 rb. Wywóz przeto przewyższał przywóz o 238,948,000 rb. Przez granice Rosji azjatyckiej wywieziono w czasie od 14-go stycznia do 30-go sierpnia r. b. ogółem towarów za rb. 45,885,000, a przywieziono w tymże czasie za rb. 103,964,000. Przywóz tedy przewyższał wywóz o rb. 58,079,000.

ZA MAŁO! Rada ministrów zatwierdziła projekt złożenia ciałom prawodawczym żądania kredytu na utworzenie w ciągu lat siedmiu 1975 nowych oddziałów pocztowych i 1257 nowych stacji telegraficznych. Z tej liczby w Królestwie Polskim powstać ma 30 oddziałów.

O słuszniejsze uwzględnienie naszych potrzeb powinno upomnieć się Koło Polskie.

DROGIE FRAKI. Współpracownik *Gołosa Moskwy* zapewnia, że podczas przedstawienia uroczystego w teatrze kijowskim, kiedy zabity został Stołypin, w krzesłach były tylko trzy osoby we fraku, mianowicie — prezydent Petersburga, Głazunow, Członek Rady państwa Ofrosimow i — członek „ochrany” Bogrow. Tymczasem za wynajęcie fraków na ten wieczór dla swych „współpracowników” „ochrana” zapłaciła, jak widać z przedstawionych rachunków, 1,700 rb. Gdzie jednak — zapytuje *Gołos Moskwy* — siedziały owe fraki?

NOWE PISMO. *Przemysł krajowy*. Pod takim tytułem zaczął wychodzić miesięcznik, poświęcony sprawom obrony wytwórczości krajowej. Treść pierwszego N-ru stanowią artykuły: „Przemysł Królestwa Polskiego” — Zenona Pietkiewicza, „Przemysł Wielkopolski” — dr. Tadeusza Jaworskiego, „Projekt Wystawy Krajowej w Warszawie w r. 1915” — Józefa Błeszyńskiego i Stanisława Portnera, „Przesilenie finansowe w Niemczech” — T. S. — J. Wystawa Ruchoma prób i wzorów. Z instytucji społeczno-ekonomicznych. Wystawy. Kronika przemysłowa.

Jako redaktor i wydawca podpisuje p. Józef Błeszyński.

OFIARY.

Na wpisy dla biednych uczniów szkół prywatnych polskich: p. Wiwatowski z Warszawy rb. 1.

Książki nadesłane do Redakcji:

Leopold Staff: „W cieniu miecza“. Poezje. Nakładem księgarni Polskiej B. Połonieckiego we Lwowie. 1911. Str. 190.

Ewa hr. Dzieduszycka: „Wygnani z raju“. Szkic powieściowy. Nakładem Albina Staudachera w Stanisławowie. Str. 155.

Herbert Sand: „Współczesny dramat polski“. Książnica naukowa i artystyczna. Kraków-Warszawa. Cena rb. 1

Ludwik Stanisław Liciński: „Halucynacje“. Kraków, 1911. Cena rb. 1 kop. 25.

Jerzy Waldemar Jarociński: „Otęcz“. Wiersze.

Józef Baczkowski: „Wichrzyciel“, sztuka w trzech aktach. Poznań, 1910.

Dr. Stanisław Skalski. „Lekarz fabryczny w roli rzeczoznawcy“. Warszawa. 1911, (Odbitka z Med. i Kron. lek. 1911).

Włodzimierz Wisłocki. „Zagadnienia społeczne“. Zeszyt 2. „Protekcja“. Lwów, lipiec 1911.

Stanisław Baczyński. „Walka o wolną szkołę jako kwestja społeczna“. Lwów, 1911.

Henryk Merczyng. „Polscy deiści i wolnomyśliciele za Jagiellonów“.

Zofja Gordziołkowska. „Böcklin w poezji“. Wydanie ozdobione reprodukcjami obrazów Böcklina. Skład gł. Wende i Spółka, w Warszawie.

Eugenjusz Polender. „Koleżeńska miłostka“. Scenki z życia młodzieży. księgarnia Kazimierza Idzikowskiego w Warszawie.

Jerzy Żuławski: „Gród Słońca“. Baśń dramatyczna w III aktach. Nakładem Tow. wydawniczego we Lwowie, 1911. Warszawa, E. Wende i Spółka. Str. 214.

M. Stecka: „Edward Dembowski“. Lwów 1911. Polskie Tow. Nakładowe. Str. 54.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

P. E. Semilowi we Lwowie. Artykułu o którym Pan wspomina nie otrzymaliśmy.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"
wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.